

Styk

Białystok, nr 7 (17) lipiec - sierpień 1993

indeks 353108

miesięcznik



Kultura i nie tylko

- ✧ Nie ma szans na Opole
- ✧ Nowe barwy kultury
- ✧ Poezja leśnych ludzi
- ✧ Czy jesteś lubiany (test)
- ✧ Styki i przytyki
- ✧ Biznes po prostemu
- ✧ W eskorcie Napoleona
- ✧ Dziwny świat
- ✧ Zwyczajny dzień w poprawczaku
- ✧ Śpiewali papieżowi
- ✧ Być w drodze
- ✧ Struś do Berezy



Policja czerwieni się śmiało

Być w drodze

Słońce pali, krok staje się coraz cięższy. Opuszczamy drogę asfaltową i poprzez niewielki zagajnik zbliżamy się do kolejnej ciężkiej próby jaką jest "pustynia". Piasek zapada się pod stopami, wchodzi do butów, drapie gardła i wpada do płuc. To jest dziewięć kilometrów piekła. Zaczynamy wątpić, czy kiedykolwiek dotrzemy do jakiegokolwiek wsi.

Ciałem wyrazić piękno muzyki

Z Henrykiem Małyszka, nauczycielem tańca i sędzią klasy międzynarodowej turniejów tanecznych rozmawia Iwona Wąsowicz-Szczepaniak

Jak to się stało, że zajął się pan tańcem i zawładnął on całym pana życiem. Czy był to przypadek czy świadomy wybór?

To przypadek. Tańczyć lubilem zawsze, ale...

Noc Świętojańska z zespołem "Narwianie"





Ciałem wyrazić piękno ...cd.

...do prywatnego studium baletu prowadzonego przez prof. Januszko-wskiego wstąpiłem dzięki dziewczynie, która się tam uczyła - czegoż się nie robi dla dziewczyny! Moi profesorowie dostrzegli we mnie zdolności i poświęcili mi wiele czasu.

Kiedy stwierdził pan, że taniec "to jest to" w pana życiu?

Od pierwszego występu na scenie. Nasza szkoła baletowa pojechała na koncert do Suwałk; występowałem tam w duecie z żoną, a także wykonywałem numer solowy.

We wrześniu w Klubie Garnizonowym w Białymstoku będzie pan obchodził swój jubileusz - 40 lat pracy zawodowej w artystycznym ruchu tanecznym.

Właściwie od pierwszego mojego występu minęły 43 lata - w Suwałkach występowałem w 1950 roku. A pracę zawodową rozpocząłem w 1952 roku po ukończeniu prywatnej szkoły tanecznej. Byłem nauczycielem tańca w państwowym ognisku baletowym. W 1958 roku zostałem wytypowany przez Ministerstwo Kultury i Sztuki do Krakowa, gdzie u prof. Mariana Wieczystego ukończyłem pierwszy w Polsce kurs dla nauczycieli tańca towarzyskiego.

Jest więc pan raczej nauczycielem niż tancerzem?

Muszę się pochwalić, że byłem mistrzem zawodowych par tanecznych na I Turnieju Tanecznym w Krakowie. Niestety, nie mogłem myśleć tylko o karierze tanecznej - bo jest to sport bardzo drogi. A ja już miałem rodzinę i

aby ją utrzymać, musiałem pracować. Tańczyłem więc i nauczalem. Brałem udział w występach ogniska baletowego, w którym pracowałem.

Nie chcę panu liczyć lat, ale wieoletni jubileusz wskazuje, że ma pan conajmniej 60 lat.

Trochę więcej.

Mimo wieku zawsze pan tryska energią, entuzjazmem i zapałem do pracy. Jaki pan ma sposób na życie?

To taniec nie pozwala mi się zestarzeć, przede wszystkim fizycznie. Ale moja młodość, także psychiczna bierze się z kontaktów z młodymi ludźmi; ciągle uczestniczę w życiu artystycznym. Ja zawsze mówię, że mam skończone 42 lata i dużo, dużo miesięcy.

Jaki właściwie jest pana zawód?

Trener zespołów tanecznych, w tym par turniejowych i sędzia klasy międzynarodowej. Sędzią zostałem po weryfikacjach przeprowadzonych przez Ministerstwo Kultury i Sztuki. Dzięki sędziowaniu poznałem wiele krajów Europy i Azji. W ubiegłym roku sędziowałem turniej w Łzewsku przed Uralem. Łzewsk kojarzy mi się z moim dzieciństwem. W 41 r. byłem na koloniach w Druskiennikach. Kiedy wybuchła wojna ewakuowano nas w głąb Rosji. Znalazłem się w Karakulino. Chodziłem tam do szkoły do piątej klasy, opanowałem szybko język rosyjski, uczyłem się też bardzo dobrze. Kiedy chciano nas rusyfikować, zabroniono posługiwania się językiem polskim; wówczas przestałem mówić po rosyjsku i za to wyrzucono mnie ze szkoły. I odtąd zaczęła się gehenna mojego dzieciństwa. Najpierw pracowałem w gospodarstwie domu dziecka, a później znalazłem się w Łzewsku w fabryce broni, gdzie jako 12-letni chłopiec pracowałem za 40 deka chleba i zupę raz dziennie. Podczas turnieju powitałem widownię w języku polskim, a tłumacząc na język rosyjski powiedziałem, dlaczego to zrobiłem: *Zetknęliście się państwo z językiem polskim w latach 41-45, kiedy w fabryce broni pracowali mali Polacy, mówiący tą mową do czasu, aż im tego zabroniono*. Dostałem niesamowite brawa. Moje wzruszenie było ogromne - dzieciństwo odżyło w pamięci, tak jakby to, co przeżyłem, zdarzyło się zaledwie tydzień temu.

Gdzie pan teraz pracuje?

Prowadzę w Łapach Dziecięcy Klub Tańca Towarzyskiego. Mimo że istnieje on od niedawna, moje dzieci brały udział w licznych turniejach i krajo-

wych, i zagranicznych. W ubiegłym roku byliśmy w Chabarowsku na granicy z Chinami, w Soczi, w Astrachaniu, w Moskwie. W tym miesiącu moja para zdobyła na Ogólnopolskim Turnieju w Łomży pierwsze miejsce.

Teraz pracuje pan w Łapach, ale przez wiele lat był pan związany z Białymstokiem i Białostockim Towarzystwem Tanecznym.

Przez ponad 20 lat rozkręcałem u nas życie taneczne. BTT powstało w końcu lat 50. W wyniku różnych nieporozumień, do których nie chciałbym wracać, zostało rozwiązane - bez żadnych powodów - w roku 80.

Co najistotniejszego zdołał pan w towarzystwie?

Zainicjowaliśmy szereg turniejów, nawet o randze międzynarodowej, jak np. *Turniej o Żubra Białowieskiego*, który ujęty był w międzynarodowym kalendarzu imprez tanecznych. Kontynuacją tego turnieju obecnie jest organizowana przez impresariat Wojewódzkiego Ośrodka Animacji Kultury już po raz szósty *Podlaska Jesień Taneczna*. Ranga tej imprezy ciągle rośnie, coraz więcej krajów chce w niej brać udział, tak, że nawet niektórym musimy odmawiać.

W jednym z pańskich wywiadów przeczytałam, że w tańcu partner jest ważniejszy od partnerki. Dlaczego?

Umiejętność partnera rzutuje na wygląd pary. Jeśli partner potrafi ukazać wszystkie umiejętności partnerki, wtenczas tworzą jedną całość i para prezentuje się dobrze i ładnie.

A jakie cechy powinna posiadać partnerka?

Mieć dużo wdzięku, być kobiecą i dać się partnerowi prowadzić.

Czy pan się tymi wskazówkami kieruje również w życiu prywatnym?

Mój stosunek do kobiet jest szalenie szarmancki, opiekuńczy; jestem mężczyzną starej daty, który w kobiecie dostrzega tę piękniejszą stronę naszego życia.

Co dla pana jest najważniejsze w życiu?

Umiejętnie je przeżyć; tak, aby pozostawić po sobie nie tylko dobre wspomnienia. W życiu najważniejsza jest rodzina, umiejętne wychowanie dzieci, aby były kontynuatorami nie tylko mojego nazwiska, ale potrafiły swoją osobowością przedłużyć moje istnienie.

Stawia pan barierę pomiędzy swoim życiem rodzinnym a zawodowym?

Absolutnie nie. Ustabilizowane życie rodzinne pomaga mi w pracy zawodowej.

O ile się orientuje, nie zawsze pana życie prywatne było ustabilizowane. Zmieniał pan partnerki nie tylko w tańcu!

W życiu nie od razu mi się powiodło. Ożeniłem się bardzo młodo i to raczej mnie ożeniono. To był błąd młodości. Później przez dłuższy okres byłem człowiekiem wolnym, to pozwoliło mi na intensywną pracę, wyjazdy, uczestnictwo w występach.

Czy obecna pana żona pogodziła się z trybem pana pracy, z pana częstymi wyjazdami?

Trafiałem na osobę, która potrafiła zrozumieć mnie i mój zawód mimo całkowitego przeciwieństwa charakterów, bo jest to umysł ścisły, z wykształcenia inżynier budownictwa.

I nigdy nie tańczyła?

Nie, a co śmieszniejsze kiedyś, kiedy pracowałem w ognisku baletowym, jej mama przyprowadziła ją na egzamin do mnie i ja nie przyjąłem jej do mojej grupy. Teraz czasami mi mówi - kiedyś nie chciałeś mnie przyjąć do

swojej klasy, a widzisz jestem twoją żoną. Przeżyliśmy ze sobą osiemnaście lat, a nie wiem co to jest nawet drobna kłótnia z żoną.

Jest pan tak długo obecny w życiu tanecznym i krajowym, i zagranicznym. Jak zmienił się taniec?

Tańce standardowe niewiele, natomiast kolosalne zmiany nastąpiły w tańcach latynoamerykańskich, które zostały wzbogacone o akrobatyczne ewolucje.

Kto jest obecnie mocarstwem w tańcu?

Do tej pory Anglia, Niemcy ją gonią, Norwegia. Teraz nie ma słabych par w Europie Zachodniej. Z byłych krajów socjalistycznych jedynie Polacy są wysoko klasyfikowani. W mistrzostwach zawodowych par tanecznych, które odbyły się w ubiegłym roku, para: Krzysztof Wasilewski i Karolina Felska doszła do finału.

Jakie trzeba mieć cechy, żeby być dobrym tancerzem?

Sprawność fizyczną, wycucie rytmu, dobry słuch. Ale najważniejsza jest umiejętność odtworzenia piękna muzyki swoim ciałem.

Od jakiego wieku należy uczyć się tańca i jakie rady dałby pan młodemu adeptom?

Najlepiej zacząć jak najwcześniej, już od piątego roku życia. Tancerz musi umieć władać swoim ciałem; angażować do odpowiednich kroków tylko potrzebne mięśnie ciała, inne powinny przekazywać spokój, płynność i piękno.

Aby uczyć Innych tańczyć musi pan sam śledzić wszystkie nowinki, znać je, umieć je zatańczyć. W jaki sposób poznaje pan nowe trendy w tańcu?

Jako sędzia biorę udział w licznych turniejach, jeżdżę także na seminaria i szkolenia. Z tańcem jest podobnie jak z medycyną - trzeba uczyć się całe życie. W Anglii, w Blackpool, odbywają się światowe zjazdy nauczycieli tańca. Bywam tam osobiście, albo kupuję nagrania magnetowidowe, wprawdzie drogie, ale dostępne.

Co uważa pan za swój najważniejszy atut?

Energię, miłość do tańca, stosunek do ludzi. Nie uważam się za kogoś nadzwyczajnego, uważam, że są ludzie lepsi ode mnie. Szalenie poważnie traktuję ludzi, z którymi pracuję, niezależnie od ich pozycji społecznej, niezależnie od tego, czy to są dzieci, czy dorośli.

Dziękuję panu za rozmowę.

Poezja leśnych ludzi

Białowieża stała się na trzy dni (1-3 VI 1993) ogólnopolskim centrum sztuki poetyckiej "leśnych ludzi". Za sprawą dyrekcji Zespołu Szkół Leśnych w Białowieży oraz Wojewódzkiego Ośrodka Animacji Kultury w Białymstoku zorganizowano I Ogólnopolski Turniej Sztuki Recytatorskiej i Teatralnej pod hasłem CZŁOWIEK I PRZYRODA.

GRAND PRIX imienia ZBIGNIEWA ŚLĄCZKI przyznano Agnieszce Wojtarz z Hajnówki (którą przygotowała Ewa Korkus).

I nagrodę Wójta Gminy Białowieża otrzymał Jarosław Bzura

II nagroda - Agnieszka Dobrzycka z Tucholi

W Turnieju Poezji Śpiewanej nagrodę Dyrektora WOAK uzyskał Mariusz Orzechowski z Hajnówki (program przygotowany pod opieką artystyczną Józefa Korkusa).

W Turnieju Poetyckim laureatem został

Marek Siepiola, tegoroczny absolwent Technikum Leśnego w Białowieży.

Dobra organizacja zwieńczona została porozumieniem zawartym między wójtem Gminy Białowieża - Anną Bajko i Markiem Kotkowskim z Towarzystwa Kultury Teatralnej oraz J. Poletyło - dyrektorem Zespołu Szkół Leśnych w Białowieży: ta interesująca impreza będzie kontynuowana! Druga edycja Ogólnopolskiego Turnieju Sztuki Recytatorskiej i Teatralnej odbędzie się w Białowieży w październiku przyszłego roku. Można przypuszczać, iż tak, jak w tym roku, dobrym duszkiem spotkań ambitnej "leśnej" młodzieży będzie polonistka Technikum Leśnego - Elżbieta Laprus. Dziękujemy i gratulujemy.

j.b.

Prezentujemy Państwu wiersz laureata Konkursu Poetyckiego:

MAREK SIEPIOLA

O drzewa poskręcane - głaskane złotą ręką słońca

*kornie przyjmujecie na barki sękatę lekką
śnieg styczniowy
bajecznie powyginane ramiona wasze
niech prosi wichura do tańca
oblędnego w teatrze cieni na tle nieba po
zmroku
z gwiazdami - klejnotami
wplecionymi misternie w melodie
niebieskiej sfery*

*O potoki - ruczaje błękitnookie
płyszajcie po kamiennych posadzkach toru
waszego
śląc refleksy dolinom i chichocząc na
wodospadach*

*Wy wierzyby niczyje przy drodze gościnnej
nie smućcie się
wietrze polny nasycony muzyką śpiewaj w
ich koronach pieśń swoją
inną co dzień
skowronki zaniosą ją wyżej i wyżej
a echo dalej i czyściej zwielokrotni*

*Księżycu bezpański co blaskiem
rozdzierasz dusze poetów
świeć czasem tylko dla mnie*

Biznes po prostemu

Kiedy te słowa dotrą do czytelników *Stryku*, być może będziemy mieli już za sobą wielką plenerową imprezę rockową, zorganizowaną na dziedzińcu Pałacu Branickich w Białymstoku. Nie będę się dzisiaj silił na ocenę czegoś, czego jeszcze nie było i co - być może - wcale się nie odbędzie, ale temat jest!

Jak to się bowiem dzieje, że imprezy rockowe w Europie Zachodniej, nie mówiąc już o Stanach Zjednoczonych, przyciągają setki tysięcy słuchaczy, a na nasze popularne zespoły przychodzi garstka pasjonatów? Skoro nie wiadomo o co chodzi, zawsze chodzi o pieniądze - jak mawia Korwin-Mikke. Chodzi tym razem o pieniądze nabywców biletów, płyt, kaset, koszulek, znaczków, filmów wideo itp. Pomijając już oczywistą różnicę w bogactwie społeczeństw, zagraniczny przemysł rozrywkowy nastawiony jest na przeciętnego młodzieńca - lub przeciętnie dofinansowywaną dziewczynę - których MA BYĆ STAC na te wszystkie drobiazgi i to wcale nie kosztem perfum, lunchu i porannej kawy w bistro na rogu. Bilet zatem nie może kosztować więcej niż 15 dolarów a koszulka 6, bo to będzie się równało połowie pustego stadionu czy hali koncertowej.

Jeżeli ktoś mi mówi o szalonych kosztach organizacji imprezy w Polsce, przy tych cenach benzyny, hoteli, nagłośnienia, elektryfikacji i obsługi technicznej, to ja się pytam czy on kiedyś obliczył koszt koncertu Michaela Jacksona albo Tiny Turner? Ich koncerty, na które bilety kosztują góra 20 dolarów, są starannie przemyślanym biznesem, opartym na porządnym biznesplanie a więc kalkulacji, która nie jest pobożnym życzeniem amatora organizacji, zbudowanym na sufitowych kosztach i przewidywaniach.

Kiedy czasem czytam plakat informujący o jakimś koncercie, a potem słyszę o cenie biletu, zastanawiam się na jakiej podstawie organizator uznał, że ludzie na to przyjdą? I co on im za te pieniądze zaofiaruje? Tak było z planowanym występem Adama Makowicza i wieloma koncertami rockowymi; o ich organizatorach nawet nie chce mi się pisać. Być może Maryla Rodowicz jest w stanie zapłacić dzisiaj studio radiowe na snobistycznym koncercie *Live*, ale czy zdoła zgromadzić kilka tysięcy w amfiteatrze?

Problem w tym, że u nas przeciętny organizator koncertu nie ma najmniejszego rozeznania w gustach publiczności i zasobności społeczeństwa w wymiennalną złotówkę, a ponadto do głowy mu nie przyjdzie, żeby przeprowadzić coś w rodzaju skromnego marketingu. Stąd radosne za-

skoczenie podczas występu kabaretu "Ot.To", na którym zjawiał się komplet widzów.

Oczywistym jest, że nawet ze stu tysięcy sprzedanych biletów na Zachodzie nie da się pokryć kosztów koncertu. Są tam zatem dwie drogi. Po pierwsze - wykonawca dopłaca do imprezy, byle tylko utrzymać popularność i pokazać się setkom tysięcy, po drugie - organizator sprzedaje prawo do filmowania jakiejś bogatej stacji telewizyjnej lub wytwórni filmowej, która najpierw produkuje kasetę wideo z koncertem, a potem wielokrotnie eksploatuje go w swoich programach. Klasycznym przykładem tego jest cykl *Unplugged* w MTV.

Tymczasem nasi wykonawcy muzyki pop i rock żyją z honorariów za koncerty i do głowy by im nie przyszło, że mają dopłacić za fakt pokazania się w katowickim *Spodku*, albo białostockim amfiteatrze. Draj zatem jak najwyższe honoraria i trudno im się dziwić, skoro zyski z ich płyt i kaset zgarniają piraci. Na zakupy dokonywane przez telewizję lub wytwórnię nie ma co chwilowo liczyć, pozostaje zatem masowość. Czyli impreza na stadionie, przy Pałacu lub w amfiteatrze, na którą bilety będą po 10 tys. zł, a nie po blisko setce. Ile wody musi jeszcze w Białce upłynąć, zanim tę prostą prawdę zrozumie nasz show-bussines? A woda w tej leniwej rzece płynie powoli.

Jacek Grun

Policja czerwieni się śmiało

Gdy powstał rząd Tadeusza Mazowieckiego, milicjanci założyli związek zawodowy, którego przedstawiciele chcieli przekształcenia milicji w policję. Pragnęli również zreformowania aparatu ścigania. Przedstawiciele związku chętnie rozmawiali z dziennikarzami, udzielali wywiadów. Mówiono o etyce policjanta, o odpolitycznieniu policji tak jak na Zachodzie.

Rozwiązano SB powołując Urząd Ochrony Państwa, zaś funkcjonariuszy poddano weryfikacji. Policja zaczęła odzyskiwać utracony prestiż. Czy wszystkie te zmiany prowadzono tak ochoczo tylko po to, aby dokonać zmian kadrowych, a stolki kierownicze mogli zająć nowi ludzie? Czy nie grozi nam recydywa w policji tzn. upolitycznienie policji i uczynienie z niej gwardii jednej partii politycznej lub koalicji partyjnej? W policji jest wiele do zrobienia, czy zapal do reform minął wraz z zajęciem kierowniczych stolków przez nowych ludzi?. A może w policji milicjanci z lat sześćdziesiątych wygrali bitwę o władzę z milicjantami z lat osiemdziesiątych.

Gdy Sejm miał uchwalić ustawę o zaopatrzeniu emerytalnym służb mundurowych, policjanci urządzili demon-

strację pod gmachem parlamentu. Czy ktoś ich wtedy potępiał lub inni policjanci rozpędzili za pomocą armatek wodnych i palek? Czy opublikowano tabele płac policjantów i podano wysokość ich emerytur? Ręczę, że te kwoty zbulwersowałyby strajkujących nauczycieli, lekarzy i pielęgniarki, dla których pieniędzy w budżecie nie ma. Czy opinia publiczna mogła ocenić zasadność rozpiętości zarobków?

Ocenianie zachowań innych, słuszności ich protestów i i wydawanie wyroków nie należy do obowiązków policjanta. Każdy policjant w państwie demokratycznym o tym wie. Każdy obywatel wie też, że jeżeli policjant takie prawo sobie usurpuje, to demokracja jest zagrożona. W demokracjach Zachodu rozpędzenie każdej demonstracji i użycie przymusu jest skrupulatnie badane. Zwłaszcza, gdy biorą w niej udział parlamentarzyści.

W Polsce Sejm został rozwiązany, odwołany rząd pracuje nadal, demokracja jest bardzo krucha. Kto więc naprawdę rządzi? Wychodzi na to, że policja, a może raczej milicja. Na pytanie: *Czy wie Pan, że wśród filmujących były osoby, które rejestrowały dla SB demonstracje w stanie wojennym?* - minister Milczanowski odpowiedział: *być może*. Dalej pierwszy policjant w Polsce zarzucił nierzetelność *Gazecie Wyborczej*, *Życiu Warszawy*, *Rze-*

czypospolitej; podobała mu się natomiast relacja w *Trybunie*. *Moi funkcjonariusze przerwali tok przestępczych działań* - mówił dalej Milczanowski. Przestępcami, jak z tego wynika, są: Jan Parys, Jarosław Kaczyński itd., a więc opozycyjni politycy. W Polsce póki co o tym, kto jest przestępcą, decyduje sąd, a nie policjant - nawet gdyby był ministrem. Oprócz tego ściganie oszczerców odbywa się na wniosek pokrzywdzonych, a jak wiadomo nikt z nich - z jednym wyjątkiem - takiego wniosku nie złożył.

W odczuciu społecznym policja nie jest postrzegana jako instytucja sprawna. Wygląda więc na to, że minister jest w tym wypadku nadgorliwy. Szkoda tylko, że takiej gorliwości nie wykazuje w ściganiu np. aferzystów.

Czy nasze życie polityczne ma polegać na tym, że jeden drugiego wyzwie od agentów, a policja będzie stała i kibicowała. Czy ma być tak, że na ulicy będą fruwały antysemitkie okrzyki, a ja będę delikatnie apelował o spokój? - powiedział dalej Minister Spraw Wewnętrznych. Czy Milczanowski chciałby aby policja uprawiała politykę, chociaż w żadnym demokratycznym państwie tego nie robi?

Czy mierzymy więc do państwa policyjnego, jak za komuny?

Waldemar Fiedorowicz

Ilekoć przygotowuję się do kolejnej - byłem na dwunastu - Pieszej Pielgrzymki Warszawskiej, szukam jakiegoś ukrytego sensu dla drogi, którą mam przejść. To będzie kawałek czystego i prawdziwego życia. Bo żyć to iść. Tak na co dzień to jestem zabiegany. Ludzie mijają mnie, gdzieś w pobliżu dzieją się rzeczy, w których nie uczestniczę, sprawy, które mnie nie obchodzą. Pielgrzymka to niemal 240 kilometrów drogi. Najpierw roztapiający się asfalt, a później leśne piachy wzbijające tumany kurzu, duszącego nawet najbardziej odpornych pielgrzymów. W owym osłabieniu, wyczerpaniu, pragnieniu, tworzy się nowa, nieznaną sobie samemu, energia. Tajemnicza siła idąca od wewnątrz. Im dłużej szliśmy, tym bardziej chcieliśmy iść dalej.

6 sierpnia. Wyruszamy sprzed kościoła św. Anny. Wychodzimy jako ostatnia grupa. Idziemy modląc się, śpiewając pieśni religijne, serdecznie żegnają nas mieszkańcy Warszawy. Niektórzy towarzyszą nam aż do Łasku Sękocińskiego. Pierwszy nocleg w Woli Mrokowskiej. Ten etap daje się we znaki szczególnie nowicjuszom. Na nocleg dochodzimy około 20.00. Każdego następnego dnia musimy przejść więcej dwa-trzy kilometry, które musimy pokonać aby znaleźć nocleg. Nasze grupy (tzw. studenckie siedemnastki) trzymają się osobno. Kwaterują przeważnie w innych wsiach niż pozostałe i wlecemy się na samym końcu pielgrzymki. Dochodząc do miejsca noclegu spotykamy specjalny pielgrzymkowy drogowy znak, kierujący na pola namiotowe. Żywność można kupić wszędzie.

7 sierpnia. Walenie w kotły i pokrywy to swoista pobudka serwowana nam każdego dnia przez kuchnię. Jest wół do czwartej. Wylażę z namiotu. Jest zimno. Muszę wrócić po sweter. Na północny wschód od radiostacji rzeszyńskiej kolory zmieniają się dosłownie w oczach. Na zachodzie królują jeszcze wielki księżyc. Pakuję namiot i chlebak wówczas, gdy na niebie pojawia się pomarańczowa piłka słońca. Ze wszystkich stron w kierunku przenośnego ołtarza ciągną grupy pielgrzymów. Pieśń *Kiedy ranne wstają zorze...* najlepiej oddaje nastrój takiej chwili. Krótka homilia o *blogosławionych ubogich duchem* i skierowane do nas słowa *...nie trwóćcie się, co będziecie jeść, lub gdzie będziecie spać...* Biorę na drogę z kuchni kawę i razem z całą grupą wychodzimy ze wsi. Dziś jest najdłuższy etap - 36 km, nocleg w Wodzinie. Ksiądz zaczyna rozważania poranne, coś jakby dalszy ciąg homilii. Później idziemy kilka minut w ciszy, skupieni słycać tylko stapanie i porządkowanie przyczepionych do chle-

baków garnuszków. Wszystkie niepotrzebne dźwięki gdzieś odpłynęły i pozostała cisza, którą się słyszało.

Jest upał, czasem deszcz, poranne i wieczorne mgły, kurz, chce się pić, bolą nogi. Daleko jestem ja - ten zwyczajny, codzienny, ze wszystkimi swoimi sprawami. Teraz próbuję odszukać siebie takiego jakim jestem naprawdę i takiego właśnie zrozumieć.

Wokół trasy poustawiane stragany. Ceny raczej paskarskie. Do końca pielgrzymki nie będę pił coca-coli. Jest to w tych warunkach swoista asceza. Omijamy Grójec. Idziemy wśród sadów i łąk. Pozdrawiamy pracujących rolników. Na końcu grupy są spowiadający księża. Stare pielgrzymkowe porzekadło mówi, że - *...bez spowiedzi do Częstochowy zaszli tylko Szwedzi...*

8 sierpnia. O czwartej pobudka. Wyruszamy na trasę o 5.30. Mijamy wieś, w których przeważają drewniane domy pokryte słomą lub dachówką. Wieśniacy oczekują nas wzdłuż drogi, napelniają nasze manierki wodą ze studni, to jakby symbol wspólnoty między dającym a otrzymującym. W południe dochodzimy do Nowego Miasta i tu zatrzymujemy się na obiad. Każdy z nas stara się zrobić jakieś zakupy. Po godzinnym odpoczynku znów wyruszamy na trasę. Słońce pali, krok staje się coraz cięższy. Opuszczamy drogę asfaltową i poprzez niewielki zagajnik zbliżamy się do kolejnej ciężkiej próby jaką jest "pustynia". Piasek zapada się pod stopami, wchodzi do butów, drapie gardła i wpada do płuc. To jest dziewięć kilometrów piekła. Zaczynamy wątpić, czy kiedykolwiek dotrzemy do jakiegokolwiek wsi. Na wzgórzu porośniętym sosnowym laskiem znajduje się niewielka kapliczka nazywana przez okoliczną ludność "pustelnia". Wśród sosen wysłuchujemy mszy św. Jakże inaczej dociera ona do nas teraz, po trudach tego morderczego etapu.

Tym razem nocleg wśród sadów.

Budzi mnie uderzenie spadających owoców. Nieodłącznie kojarzy się to z inną nocą i innymi uderzeniami, a wówczas jak we śnie ukazuje się Golgota, i postać tej do której podążam, stojąca u boku umierającego syna.

9 sierpień. Szybko przywykłem do rannego wstawania. Zwłaszcza wówczas, gdy na horyzoncie pojawia się wschodzące słońce. Pielgrzymka to jednak przede wszystkim modlitwa i refleksja. Tajemnice i dziesiątki różańca przeplatają się z intencjami tak osobistymi. Czasami jako przerywnik w różańcowych rozważaniach pojawia się poezja, ale i ona wypełniona jest jakąś wewnętrzną osobistą interpretacją, a właśnie wówczas brzmi najpełniej.

Tym razem msza św. w Studziannej. Znajduje się tu bazylika, sanktuarium Świętej Rodziny. Opiekę nad nim sprawują księża Filipini. Świątynia ta zapisała się w świadomości Polaków wzruszającym wydarzeniem z okresu ostatniej wojny. Na pierwszą okupacyjną pasterkę przybyli tu "hubalczyki" pod dowództwem mjr. Henryka Dobrzańskiego. Właśnie niedaleko Studziannej, w miejscowości Anielin, Hubal poniósł śmierć.

Pośród pielgrzymów widoczni są księża idący w sutannach. Podchodzą do nich ludzie i proszą o wysłuchanie spowiedzi. Widzę spowiadającą się po drodze dziewczynę, która ma nogi tak obolale, że nie może iść w butach, ale ona wydaje się nie zauważać, że idzie po kamieniach, bo dla niej ważna jest ta droga, którą dostrzega w czasie spowiedzi; jest jej lekko, idzie z zapalem. Spowiadając się odbywa jednocześnie pokutę.

10 sierpnia. Piąty dzień. Idziemy z Zachorzewa do Reczkowa. Po drodze zwiedzamy sanktuarium w Paradyżu. Tu najczęściej pada deszcz. Ogłoszono przerwę na obiad. Na pobliskiej łące rozsiadł się różnobarwny tłum. Wypada wspomnieć o grupach zagranicznych idących w pielgrzymce. Razem jest około 1700 cudzoziemców 16 narodowości. Wszyscy wiedzą sporo o Polsce i Jasnej Górze. Wydaje mi się znamienne dla stanu kultury europejskiej, że tak u nas, jak i w innych krajach, ludzie głęboko potrzebują zarówno sensu wiary, jak również wspólnoty i uczucia. A to daje właśnie pielgrzymka. Prawdziwą ozdobą i ciekawostką jest nieduża grupa Japończyków.

11 sierpnia. Dziś prawie 30 kilometrów. Nie czuję się najlepiej. Zastanawiam się, czy nie zgłosić się na punkt PCK. Może dostanę przepustkę? (Są takie dla chorych; wolno im wyprzedzić

pielgrzymkę). Ale trochę mi wstyd, no i zresztą tyle bym stracił na trasie. Po- stanawiam w czasie tego etapu przyłą- czyć się do grupy, w której idą "hippie- si". Prowadzi ją ksiądz Andrzej, sale- zjanin z Przemyśla. Wykazuje dużo zrozumienia dla problemów tych ludzi. Oni zaś traktują go jak kolegę, darząc jednocześnie szacunkiem. Słucham niebanalnej dyskusji, która po pewnym czasie przeradza się w niezwykle, śpiewny dialog między dwoma najza- gorzalej dyskutującymi. W hippiesach odkrywam nieznanych mi dotąd bliżej ludzi, bardzo wrażliwych na problemy moralne i religijne, szczerych, realizu- jących ducha wspólnoty, umiejących jakże spontanicznie i żarliwie się mod- lić.

12 sierpnia. Jesteśmy coraz bliżej Jasnej Góry. Za Wielgomłynami znowu pada. Odmawiamy różaniec, który trwa bardzo długo, gdyż pątnicy oddają wie- le kartek z intencjami, z których wszy- stkie są odczytywane. Następuje pla- nowana zmiana trasy, czeka nas teraz przejście przez bagna. Rzeczywiście brniemy przez grzęzawiska, grupy ule- gają rozsypce, tak że nie ma mowy o realizowaniu jakiegokolwiek programu. Wielu zdejmuje buty i idzie boso, robię i ja to samo. Czuję się teraz jak pra- wdziwy pątnik.

13 sierpnia. Zbliżamy się do kościo- ła św. Anny. Tu zawsze zaczyna "pa- chnieć" Częstochową. Zatrzymujemy się na krótką modlitwę. Młodzi i starzy, kobiety i mężczyźni, modlą się na kłę- czkach wokół ołtarza. Każdy gest, każ- da postawa, stawiająca człowieka we wspólnocie z Bogiem oraz z innymi ludźmi, jest bardzo ważna i godna sza- cunku. Wychodzę ponownie na szosę. Ten etap jest już bardzo krótki. Na upartego można by już dziś dojść do Częstochowy. Idę przesmykiem, z le- wej góra, z prawej rzeka, to pewnie już Warta, drzewa się kończą i wychodzi- my na ogromny plac, na nim mrowie ludzi. Ależ nas tu jest. Siedzę trochę z boku na górze - piękny widok na róż- nokolorowy żywy kościół pod niebie- skim niebem - znów tylko kilka małych chmurek i słońce. Zmierchało już, gdy w padającym uporczywie deszczu do- szliśmy do Zawady, miejsca ostatniego noclegu przed dojściem do Jasnej Gó- ry. Lalo jak z cebra. Tlum przybyłych na mszę gęstniał. Ludzie stali w blocie po kostki, w strugach ulewy dzieląc się wzajemnie skrawkami płaszczy, skrzydłami parasoli. Po błogosławień- stwie uderzyła w wąty strop stodoly pieśń - modlitwa *Boże, coś Polskę przez tak liczne wieki otaczał bla- skiem... osłaniał... od nieszczęść... Oj-*

czynę wolną... Wszyscy śpiewali, mi- mo że błoto skrywało stopy stojących - nikt się nie ruszył.

14 sierpnia. Na Przeprósnej Górcie, w miejscu, skąd widać Sanktuarium Jasnogórskie, mamy pozostawić wza- jemne urazy, niechęci, mamy się prze- prosić nawzajem i nawzajem sobie wy- baczyć. Więcej tu jest radości, krzyku, śmiechu, niż żalu, że zrobiło się coś złego. Ale czasami przychodzi też re- fleksja - trzeba się także pogodzić z tymi których tu nie ma, a z którymi może jestem w stanie wrogości. Tutaj mam pozostawić urazę do nich, mam za nich się modlić, a co jeszcze trud- niejsze, powinienem zdobyć się na wy- silek doprowadzenia do zgody, do wy- równania choćby tylko z mojej strony popełnionych krzywd... Nie trzeba wie- le mówić, wystarczy uścisk dłoni, a i to wiadomo, że nikt tu swojej dłoni nie odmówi. A tam...

Jesteśmy już w mieście, wchodzimy w długą, zadrzewioną aleję, prowadzą- cą wprost do klasztoru. I oto rozległa przestrzeń otaczająca sanktuarium wypelniona po brzegi pielgrzymami. Każdy ma tylko chwilę czasu, aby się pokłonić Jasnogórskiej Pani.

Nadchodzi moment pożegnania. Grupy pielgrzymów odpływają spod klasztoru. Przychodzą ostatnie refle- ksje. Czym jest pielgrzymka? Jest ona swoistym rewanżem ludowej kultury: chłopskiej religijności i obyczajowi - na kulturze szlacheckiej, pańskiej, pomie- szanej dziś z całą współczesnością miejską i uniwersalistyczną, która nas zdominowała i którą żyjemy. Uczucio- wość i wspólnota, kontemplacja i sac- rum - potrzeby dzisiejszego człowieka coraz silniej odczuwane - to spuścizna dawnych pokoleń, odkrywana i doce- niana na nowo. Dzięki niej wracamy do źródeł naszej duchowości, odnajduje- my naszą tożsamość. Również przez dawne formy. W iluz kościołach zapo- mniano już dawne modlitwy i pieśni. Kto dziś śpiewa *Kto się w opiekę...*, nieszpory i godzinki? A na pielgrzymce każdego ranka obok współczesnych pieśni i piosenek brzmiał coraz głośnie- jąc w młodych grupach: *Przybądź nam mi- łościwa Pani ku pomocy...* I ja także żegnałem niknący w dali szczyt jasno- górskiej wieży starymi słowami sprzed trzystu kilkudziesięciu lat: *Z pokłonem Panno Święta ofiarujęm Tobie te go- dzinki ku wiecznej czci Twej i ozdobie.* A siedząc w pociągu w chwili natchnie- nia napisałem:

*tylko mojego co ziemi pod stopą
lecz idę dalej
wiary nadziei i miłości pełen*

Krzysztof Ostaszewski

Sianokosy ludowych poetów

Od wielu już lat Wojewódzki Ośrodek Animacji Kultury spra- wuje rolę mecenasa wobec po- etów ludowych mieszkających na Białostocczyźnie. W sumie wydano czterdzieści tomików poezji ludowej. Organizowane są również spotkania ich auto- rów.

Kilka miesięcy temu, w Kny- szynie, odbyło się takie spotka- nie, które nazwano *Poetyckimi Przymrozkami*, potem w Dziad- kowicach *Poetyckie Roztopy*. Dwudziestego szóstego czer- wca odbyły się *Poetyckie Siano- kosy*. Warto dodać, że gdy dyre- ktorem Knyszyńskiego Ośrodka Kultury została Iwona Śmielak, poeci ludowi znaleźli w niej go- rącego sprzymierzeńca. Tak się składa, że w okolicach tej miej- scowości mieszka kilku poetów i niejako z obowiązku placówka ta włączyła się do mecenasowania wszystkim skupionym w Kole Poetów Ludowych, któremu przewodniczy znana nie tylko na Białostocczyźnie Elżbieta Dani- szewska mieszkająca w Kny- szynie.

Dobrą tradycją stało się przy- gotowywanie na każde takie spotkanie przynajmniej jednego tomiku poetyckiego. W tym roku Oficyna Wydawnicza Wojewó- dzkiego Ośrodka Animacji Kul- tury wydała antologię poezji lu- dowej, zatytułowaną *Tyle we m- nie wszystkiego*.

Na knyszyńskie spotkanie przybyło ponad dwadzieścia osób. Szczególnie serdecznie przyjmowane były nowe poetki m.in. Iwona Piekar, Jadwiga Koleśnik, Bronisław Zadyko- wicz. Na spotkanie przybyli rów- nież białostoccy satyrycy: Zbig- niewicz Waydyk i Kazimierz Sło- nimski. Spotkanie prowadził krytyk literacki Waldemar Smaszcz, który wywiódł trady- cję poezji ludowej z poezji mó- wionej lub śpiewanej. Wysilek poetów, aby poznać niepozna- walne, daje zdumiewające stro- ty.

(W-Z)

Śpiewali papieżowi

Jest ostatni dzień kwietnia roku pańskiego 1993. Autokar holenderski firmy DAF z białostockiego *Nowatora* zajmuje Chór Pieśni Dawnej im. Stanisława Moniuszki. Halina Dębowska - prezes stowarzyszenia śpiewaczego, a jednocześnie inicjatorka pielgrzymki do Rzymu - przydziela mi miejsce tuż przy kierowcach. Na trasie okaże się, że są oni doskonałymi fachowcami w turystycznej branży.

Wyprawie przewodzi Mieczysław Wiśniowski, znawca łaciny, archeologii i starożytności. Szefowa sprawdza jeszcze listę obecności, przypomina o paszportach i przedstawia Zbigniewa Reckę, młodego i dynamicznego księdza z fary.

Ruszamy. Na trasie dominuje śpiew, modlitwa i dialog basa Zenka z tenorem Wojtkiem. Kolejne granice przekraczamy w locie, mając sporo szczęścia na austriackiej. Panika spowodowana pryszczycą obligowała celników austriackich do całkowitej likwidacji wiezionej przez turystów żywności. W tym miejscu wypada się przyznać, że *Nowator* zapewniał podróż i noclegi, a pielgrzymi resztę. Na szczęście udało się nam przewieźć wszystkie zasoby żywności.

Do Wenecji dotarliśmy po 28 godzinach jazdy. Camping *Marco Polo* zlokalizowany jest tuż przy lotnisku. Później okaże się, że starty i lądowania metalowych ptaków wcale nie muszą wpływać na bezsenność. Po rozłokowaniu się w bungalowach bierzemy zbiorowy prysznic, dopasowujemy grzałki do włoskiego prądu, jemy spóźnione śniadanie i udajemy się do pałacu Dożów. Żeby się tam dostać, trzeba skorzystać z tramwaju wodnego firmy *Cantiere Navale* i nie trafić w kalendarzowy dzień 1 maja. Włosi uznają święto pracy i pałac turystom zamknęli. Zwiedziliśmy go więc dopiero w drodze powrotnej. Uroki Wenecji podziwialiśmy oglądając z zabytkowej wieży panoramę stu sześćdziesięciu kanałów i czterystu mostów. Zachwył potęgują cztery dzwony, które uruchomione równocześnie mogą ogłuszyć przebywających na wieży turystów. Byłem tam wówczas, gdy były wszystkie naraz. Słyszę ich dźwięk do dzisiaj, bo warto takie wspomnienia przywoływać nie tylko "od wielkiego dzwonu".

Miasto bajka. Uroczę zakątki, kanały, gondole, setki straganów, kawiarni, restauracji i tysiące zwiedzających. W weneckich labiryntach wąskich uliczek nie można zabłądzić. Oznakowane strzałkami kamienice zaprowadzą każdego do centralnego placu Św. Marka. Stamtąd trzeba wracać na camping tramwajem wodnym za jedyne 3300 lirów, konieczne głównym

kanalem *Grande*. Tłok w tramwajach niesamowity, podobnie jak na głównej arterii komunikacyjnej. Kunsztem nawigacji popisują się sternicy tramwajów, taksówek wodnych, motorówek, barek i gondolierzy. Z ich usług niestety nie skorzystaliśmy ze względu na skromną zawartością dewizowych portfeli.

Wczesnym rankiem 2 maja kierujemy się na Rzym. Po drodze płacimy podatek drogowy za użytkowanie autostrady. Komputery drogowych przejść precyzyjnie odmierzają w lirach przejechane kilometry.

Jadąc do Romy koniecznie trzeba odwiedzić leżącą na trasie Padwę z dwunastowieczną bazyliką Św. Antoniego i uniwersytetem, gdzie studiował m.in. Mikołaj Kopernik.

Trafiamy na niedzielną mszę i mamy możliwość poznać bliżej Włochów. Są pogodni, gustownie ubrani, uprzejmi i przesadnie krzykliwi. Robimy pamiątkowe zdjęcia, kupujemy suveniry i staramy się utrwalić własne "ja" w obiektywie kamery Zbigniewa Wiszowatego. Zawartość trzech kaset będzie można obejrzeć potem w domowych pieleszach.

W drodze do Rzymu - oznajmia mi przewodnik - będziemy mieli niespodziankę. Oczekując na jej efekty notuję informacje p. Mieczysława o Italii i jej mieszkańcach.

Przeciętny Włoch jest katolikiem, ale praktyki religijne odprawia nieregularnie. Nie ma natomiast "makaroniarzy", którzy nie rzuciliby soli za siebie, kiedy rozbije się solniczka. Włosi są zazdrośni. Przygodne spojrzenie na pleć piękną, a tym bardziej próby flirtu mogą skończyć się niefortunnie dla obcokrajowców. Najbardziej obraźliwym przekleństwem jest *cornuto* czyli rogacz, natomiast chętnie przez naszych rodaków używane *curva* oznacza po włosku niebezpieczny zakręt. Będąc we Włoszech koniecznie trzeba kupić lody, spaghetti i oczywiście pizzę. W menu campingowej restauracji wyczytałem ponad 30 odmian pizzy. W sumie gastronomiczne powiedzenie "być we Włoszech i nie spróbować ..." kosztowało mnie łącznie 30 tys. lirów.

Jadąc autostradą zatrzymujemy się przy autogrillach, gdzie można się odświeżyć, posilić, kupić co dusza zapagnie i wypić za jedyne 1500 lirów capuccino lub the. Jako że nie jestem smakoszem kawy, piłem herbatę w małych filiżankach, zagryzając ją wieprzowiną z domowych zasobów.

Zzadamy o najbliższych w Białymstoku wytrąca mnie donośny głos przewodnika. Wsiadamy z autokaru i idziemy obejrzeć ósmy cud świata. Pniemy się ostro pod górę, by dotrzeć do trzynastowiecznej *Basilica Cattedrale* w Orwieto. Imponująca

świątynia, której budowa trwała 300 lat. Wszyscy z zadowoleniem, choć z lekką zadyszką uznaliśmy, że niespodzianka była wartościowa. Potwierdziła to później watykańska przewodniczka Elżbieta Wierzbicka oznajmiając, że do położonego na wulkanicznym wzgórzu Orwieto docierają nieliczne grupy, gdyż nie leży ono na trasie turystycznej.

Docieramy do celu pielgrzymki. Rzym. Roma. Miasto 7 wzgórz. Wieczne Miasto. "Wszystkie drogi prowadzą do Rzymu", "być w Rzymie i papieża nie widzieć". Stolica Italii nad rzeką miłości - Tybrem. To wiedziałem z opowieści innych. Teraz mogę doświadczyć cudów tego miasta osobiście. W campingu Flamingo nabieramy sił na turystyczny atak włoskiego Centrum Kultury i muzeum na wolnym powietrzu.

Jest 3 maja. Włoskie słońce zapowiada gorący dzień. W Polsce święto, tu codzienność. Wszystkich nas ogarnia amok patriotyzmu. Jedziemy do Cassino.

Położone 517 m nad poziomem morza Monte Cassino oznacza dla każdego Polaka wzgórze pamięci narodowej. To nasi 18 maja 1944 r. je zdobyli. Oni z 2 korpusu. Smutne cyprysy oplakują 860 zabitych i 101 zaginionych.

W ciszy, na tle dużego orła białego, ustawa się Chór Pieśni Dawnej. Trwa niepowtarzalna msza połowa, którą prowadzi młody ksiądz Zbigniew Recko. Brzmiały strofy *Czerwonych maków: Bo wolność krzyżami się mierzy, a potem Witaj maj, piękny maj, dla Polaków błogi raj.*

W trakcie słów młodego kapelana: "przekażcie sobie znak pokoju", spoglądam na duży napis *PAX* i *Przechodniu powiedz Polsce żeśmy polegli wierni jej służbie.*

W skupieniu ofiarowujemy bohaterom nasze myśli i tylko myśli, bo w poniedziałki w Cassino kwaciarnie są nieczynne. Składamy je obok czapki krakowskiej na płycie Generała Broni Władysława Andersa.

Na klasztorze *Benedich Numine Santa* widzę herb Św. Benedykta - dąb złamany, który rozkwita i motto *Succisa Virescit.*

Żegnamy biało-czerwoną dumnie powiewającą nad Monte. Kto tu nie był - być musi.

Wracamy do Romy. Wzmaga się ruch uliczny. Często słychać głośnie sygnały samochodów z napisem *Polizia* i *Carabinieri*. Podziwiam ekwilibrystycznie jeżdżących na motorach i skuterach Włochów. W gąszczu pojazdów większego kalibru zawsze znajdują sobie miejsce, aby - umiejętnie je omijając - przeć do przodu. Nasi kierowcy wykazują znakomity refleks w poruszaniu się po Rzymie. Tu jeździ się szybko, ale bezpiecznie. Chociaż poryso-

wane karoserie znacznej ilości samochodów świadczą o drobnych kolizjach. Na szczęście nas one ominęły.

Nie potrafililiśmy się jednak oprzeć gastronomii z napisem *Gelati i Bibite*. Magnesem przyciągającym były włoskie lody za jedyne 4000 lirów.

Wpadamy w rytm zwiedzania. "Palaszujemy" kolejno Kolumnę Trojana, Plac Wenecki, Pałac Wenecki, Koloseum, Forum Romanum, by zakończyć dzień w Basilica Di Santa Maria. Atrakcją bazyliki są "usta prawdy", z których usług na wszelki wypadek nie wszyscy skorzystali. W razie kłamstwa mogą się zacisnąć i co wtedy?

Pełni wrażeń i - nie da się ukryć - głodni oraz zmęczeni "polegliśmy" o północy w campingu *Flamingo*. Śnił nam się kapuśniak i schabowy, bo na jawie były tylko konserwy.

4 maja czekają nas przeżycia duchowe wynikające z kontaktu ze sztuką przez duże "S". Stajemy w ogromnym tłoku przed kasami Musci Vaticani. Zasoby dewizowe uszczuplają się o kolejne 8000 lirów plus zbiorowe 100 000 lirów za przewodnika. Pani Elżbieta Wierzbicka imponuje zasobem wiedzy i sposobem jej przekazywania.

Watykan zajmuje powierzchnię 44 ha, liczy 1000 mieszkańców, z tego 200 kobiet. Należy do najbardziej zmilitaryzowanych krajów świata, gdyż co dziesiąty należy do Gwardii Szwajcarskiej. Muszą to być kawalerowie, w wieku do 35 lat.

Samochody oznakowane są rejestracją SCV od 1 do 1000. Z numerem pierwszym oczywiście porusza się pojazd papieża.

Watykan ma swoją radiostację i telewizję. Żeby jedną minutę poświęcić na obejrzenia eksponatów muzeów watykańskich, trzeba by było żyć 80 lat - twierdzi nasza przewodniczka. Nie będę więc opisywał tego, co należy obejrzeć samemu.

Mogę tylko skonstatować, że chodziliśmy śladami Jana Pawła II w otoczeniu tysiąca rzeźb starożytnych, wyeksponowanych na drodze Ojca Świętego do biblioteki watykańskiej. Najczęściej spotykanym napisem jest *non toccare* (nie dotykać), a słowem używanym na każdym kroku przez służbę muzealną *silenzion* (cisza).

Niestety, niemożliwe jest przestrzeganie tego ostatniego w tłumie różnojęzycznym i o zróżnicowanych zainteresowaniach. Mogłem się o tym przekonać w Kaplicy Sykstyńskiej, gdzie cisza powinna być absolutna. Czy była? Zdecydowanie nie. W ogromnym tłumie wszystkie grupy pomieszały się do tego stopnia, że profesor Jerzy Śródkowski przepadł wśród Japończyków. Odnalazł się dopiero na Placu Świętego Piotra.

Kaplica Sykstyńska swoją nazwę wy-

wodzi od Papieża Sykstusa IV i w jej wnętrzach dokonuje się wyboru papieża. Oznajmia ten fakt jasny dym z suchej słomy spalonej w specjalnym piecyku. W przypadku negatywnym używa się słomy mokrej. Zwiedzanie muzeów watykańskich kończymy schodząc schodami, po których po południu poruszać się będzie Jan Paweł II. Wówczas zespół muzeów pełni funkcję normalnych obiektów państwowych Watykanu. Tu papież przyjmuje delegacje zagraniczne, dyplomatów, głowy państwa i nadzwyczajnych pielgrzymów.

W tym czasie my zwiedzamy Catacombe, czyli cmentarz podziemny Św. Kaliksta. Czteropiętrowe labirynty mają długość 20 km. Oprowadza nas Dorota Kowalska-Sawko. Zapowiedź przewodniczki, że z powrotem trafimy sami przyjmujemy jako żart. Bez znajomości labiryntów, które nie mają oznakowanych szlaków, nie widzę możliwości trafienia gdziekolwiek. Chyba, że do jednej z krypt, z których turyści na pamiątkę pobytu w katakumbach zabierali kości męczenników. Odtąd krypty są puste.

W wieczornej porze zwiedzamy kolejno kapliczkę Quo Vadis z popiersiem Henryka Sienkiewicza, jedyną w Rzymie piramidę Cestiusza, Bazylikę Św. Pawła zwaną Ostyńską z 80. granitowymi kolumnami i 5. nawami; "Święte schody" w Santuario Pontificio delà Scala Santa, które pokonujemy na kolanach. Dalej na trasie bazylika Św. Jana na Lateranie, pierwotna siedziba papieża, fontanna de Trevi, gdzie wrzucamy monetę prawą ręką przez lewe ramię i na dłużej zatrzymujemy się przy Panteonie, czyli świątyni wszystkich Bogów. Przez Plac Nerona docieramy do Hiszpańskich Schodów i Fontanny z Łódką, by w blasku księżyca, przy Grobie Nieznanego Żołnierza na Placu Weneckim zakończyć intensywny dzień zwiedzania. Jutro spotkanie z Ojcem Świętym.

Jest dzień 5 maja. O godz. 8,15 wyjeżdżamy z campingu *Flamingo* na audiencję generalną do Jana Pawła II. Od godz. 8,30 na Placu Św. Piotra ustawiają się grupy, które uzyskały przepustki na spotkanie z papieżem.

Po ścisłej kontroli przez ochronę dostajemy się do naszego sektora w Bazylice Św. Piotra. Prowadzący audiencję zakonnik oznajmia, że bierze w niej udział ok. 4000 Niemców, 2000 Polaków oraz delegacje z Austrii, Holandii i Szwajcarii.

Nasz Chór Pieśni Dawnej, w galowych strojach, pod dyrekcją Jerzego Śródkowskiego śpiewa pieśni maryjne i pamiętą z wizyty Ojca Świętego w Białymstoku pieśń powitalną ze słowami: *Witaj Pielgrzymie w pięknej narwiańskiej krainie*. Po każdej pieśni rozlegają się brawa oczekuj-

jących na przybycie Ojca Świętego pielgrzymów. Jesteśmy jedynym chórem zorganizowanym, jeśli nie liczyć ogólnego śpiewu zainicjowanego przez najbardziej liczną grupę niemiecką.

W Bazylice poruszenie. Pojawia się papież. Idzie wzdłuż sektorów witając się, głaszcząc po głowach i przyjmując prezenty od pielgrzymów. Przechodzącemu obok naszego sektora chór intonuje specjalnie opracowane muzycznie *Sto lat* na cześć papieża.

Jan Paweł II zajmuje miejsce w centralnym punkcie Bazyliki, z którego czyta tekst audiencji w języku niemieckim i w języku polskim.

Trzydziestominutowa audiencja kończy się błogosławieństwem Ojca Świętego, którym obdarował polski papież również nas. Zachowuję na całe życie w pamięci białego orla z Monte Cassino i białą postać Ojca Świętego Jana Pawła II.

Po wyjściu z najbardziej okazałej świątyni świata robimy zdjęcia na Placu Św. Piotra i po raz ostatni spoglądamy na watykański dom Jana Pawła II.

Ariwederczi Roma. Jedziemy do Wenecji, ale inną trasą - przez Asyż. Tu urodził się i umarł na gołej ziemi patron Italii Św. Franciszek. Ruchomymi schodami przemieszczamy się na wzgórze by zwiedzać średniowieczny gród.

W Assisi rosną róże bez kolew, a kalendarz jest rzeczywiście bogaty w ważne wspomnienia i obrzędy religijne. Najbardziej popularną i słynną jest manifestacja folklorystyczna Asyżu zwana Majową Kołędą, która przez trzy dni przemienia miasto zapelniając go minstrelami i trubadurami, damami i rycerzami, błaznami i żołnierzami oraz rzemieślnikami starożytnych cechów. Miasto skąpane w świetlnych pochodniach zdaje się cofać do minionych czasów. Niestety, nie trafiliśmy na ową Kołędę, chociaż widzieliśmy przygotowania do jej organizacji.

W Wenecji nocujemy w znanym nam campingu *Marco Polo* i 7 maja, po zwiedzeniu pałacu Dożów, bierzemy kurs na Białystok.

Do domu wraca się szybciej. Tak było i z nami. Po 26 godzinach jazdy przed autokarem ukazuje się tablica z napisem Białystok. Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej. Chór Pieśni Dawnej im. Stanisława Moniuszki wrócił z pielgrzymki cały i zdrowy, aby w II-gą rocznicę pobytu papieża w Białymstoku zaśpiewać na Ingresie nowego arcybiskupa. *Witaj nam Święty Ojciec...brzmiały strofy pieśni autorstwa Elżbiety Daniszewskiej, z muzyką Henryka Adama.*

Sluchał ich w Rzymie Jan Paweł II.

Kazimierz Maksymilian Derkowski

Zwyczajny dzień w poprawczaku

Ciche pytanie o poprawczak, skierowane w autobusie do starszego mężczyzny, zwraca uwagę pasażerów. Przystanek, na którym należało wysiąść, pokazały aż cztery osoby. Zakład Poprawczy i Schronisko dla Nieletnich otacza płot z siatki nieco wyższy niż sąsiednie. Nad płotem jest drut kolczasty, za siatką żywopłot. Nawet kraty w oknach budynku nie zwracają uwagi przypadkowego przechodnia. Przy bramie wartownia, a może raczej portiernia. Wartownik nie nosi munduru i broni. Poprawczak bardziej przypomina szkołę z internatem niż więzienie. Na dziedzińcu trawniki, drzewa, trochę dalej jest boisko, z drugiej strony alejki sad i ogród warzywny.

Pobudka jest o szóstej trzydziści. W soboty i niedziele później. We wtorek na śniadanie był serdelek, chleb i masło. Często nowoprzybyli jedzą więcej niż inni. Pierwszy raz w życiu zaczynają odżywiać się regularnie. Dołączają własne łóżko i białą pościel.

W Zakładzie może być osadzony nieletni, który ukończył trzynaście lat życia. Najpierw trafia do tzw. izby przejściowej. Nie powinien wtedy kontaktować się z innymi. Jest obserwowany oraz badany przez psychologa. Należy określić jego zdolności, predyspozycje i stopień demoralizacji.

Jest regułą, że skazani przez sądy dla nieletnich są zaniedbani wychowawczo. Trafiają tu całe rodzeństwa, często liczne, pochodzące z rodzin patologicznych. Przeważa środowisko miejskie; ojciec, wielokrotnie karany, nadużywa alkoholu; matka dba najwyżej o zaspokojenie potrzeb materialnych, a w rodzinie brak jest jakiegokolwiek więzi. Rodzice w czasie wizyt zadają retoryczne pytanie: dlaczego to zrobił, był przecież nakarmiony, ubrany, miał wszystko.

Każdy, kto tutaj trafi, miał wcześniej kłopoty z nauką. Chociaż psycholog podkreśla, że współczynnik inteligencji określany na podstawie testów rozkłada się wśród wychowanków podobnie jak w społeczeństwie. Wyjątkowo zdolni trafiają się rzadziej. Regułą jest to, że rodzice nie potrafią pomóc w nauce, ani wzbudzić jakichkolwiek zainteresowań. Jeżeli dziecko źle się uczy, dostanie lanie. Czasami ojciec bije po pijanemu. Skutek jest taki, że dziecko odbiera to jako zemstę złego ojca. Nikła nić rodzinnych więzi zostaje zerwana. Dziecko szuka przyjaciół i znajduje. Trafia do grupy zdemoralizowanych nieletnich, którzy tłumaczą: stary, nie przejmuj się, wszystko w porządku; grupa dowartościowuje go w negatywnym sensie. Ale zanim nieletni popełni przestępstwo, zaczną się wagary i ucieczki z domu. Rodzice, zwłaszcza

matka, często będą poszukiwać winnych na zewnątrz rodziny. Winna jest szkoła, sąd, policja, koledzy. Rodzina zawsze jest cacy.

Karani nieletni nie pozostają w tyle. Chociaż wiedzą, że w polskim prawie spożycie alkoholu nie jest okolicznością łagodzącą, tłumaczą się stanem nietrzeźwym w chwili popełnienia przestępstwa, wpływem kolegów: sam bym w życiu tego nie zrobił!

W Zakładzie jest szkoła. Najmłodsi trafiają do klasy zbiorczej realizującej program piątej i szóstej klasy szkoły podstawowej. Tutaj wyrównuje się poziom, bowiem niektórzy mają poważne braki. Klasy liczą po kilkunastu uczniów i nie każdy jest promowany do wyższej. Przeciąganie wychowanka za uszy do następnej byłoby tutaj szczególnie demoralizujące. W zakładzie istnieje Zasadnicza Szkoła Zawodowa, realizująca trzyletni program nauczania. Uczniowie nie mają wakacji i ferii. Na świadectwach, które otrzymują po jej ukończeniu, nie ma informacji, że szkoła znajduje się w poprawczaku, ale każdy pracodawca może się tego dowiedzieć.

We wtorek na drugie śniadanie był chleb ze smalcem. Drugi posiłek wychowankowie jedzą między jedenastą a dwunastą. O dwunastej ci, którzy mieli zajęcia w klasach, idą do warsztatów, a ci, którzy uczyli się w warsztatach, do klas. Nauka trwa do czternastej trzydziści.

We wtorek na obiad był barszcz z botwinki, kotlet smażony z karkowiny, surówka z pomidorów. Po obiedzie jest czas wolny. Można uczyć się, uprawiać sport, oglądać telewizję lub filmy z magnetowidu czy słuchać muzyki. Regulamin nie zabrania posiadania własnego radia, walkmena, magnetofonu, a nawet magnetowidu i wychowankowie często te przedmioty posiadają. Otrzymują z domu, podobnie jak paczki. W przeciwieństwie do więzienia nie ma żadnych ograniczeń odnośnie ich wysyłania czy dostarczania. Rzecz jasna, nie dotyczy to alkoholu, zdarzało się bowiem, że tata między jednym a drugim kilkudniowym piciem przypominał sobie, że ma syna w poprawczaku i postanowił sprawić mu radość.

Zakład posiada instrumenty muzyczne i można na nich grać. Szkoda tylko, że nie powstał nigdy zespół muzyczny z prawdziwego zdarzenia. Jeżeli wychowanek mówi, że posiada zainteresowania muzyczne, oznacza to zazwyczaj, że biernie jej słucha.

Trochę inaczej mają się rzeczy ze sportem. Na przelomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych kilku wychowanków po odbyciu kary trafiło nawet do Jagielloni. W poprawczaku istnieje sekcja sportowa. Kierownictwo zakładu uważa, że uprawianie sportu pomaga rozładować agresję.

Po obiedzie uprawiają ogród, dbają

o najbliższe otoczenie. W niejednym internacie nie jest tak czysto jak w poprawczaku.

O dziewiętnastej jest kolacja. We wtorek były jajka na twardo, żółty ser, chleb, masło, keczup. Dzienna stawka na wyżywienie wynosi dwadzieścia cztery tysiące złotych. Są własne warzywa, owoce i trochę mięsa z przykładowej hodowli. Po kolacji jest trochę czasu na telewizję. Od dwudziestej drugiej jest cisza nocna, w czasie której wychowawcy pełnią dyżury.

W Zakładzie przebywa około siedemdziesięciu wychowanków. Pobyt w nim jest najsurowszą karą dla nieletniego przestępcy. Najbliższy poprawczak znajduje się koło Ostrołki. Trafiają tutaj ci, którzy na swoim koncie mają kradzieże, kradzieże z włamaniem, kradzieże zuchwałe, rozbój, zdarzają się gwałciciele i mordercy. Wobec nieletnich przestępców sądy najczęściej orzekają dozór kuratorski.

Psycholog Stanisław Bekisz posiadający długi staż i doświadczenie uważa, że gdyby prowadzono odpowiednio profilaktykę wśród rodzin zagrożonych przestępczością, ilość przestępstw nieletnich byłaby znacznie mniejsza. Wielu wychowanków mieszkało w rodzinach, a rodzice byli wyjątkowo niewydolni wychowawczo. Gdyby taką rodzinę wyrwać ze środowiska, skierować pomoc wychowawczą i materialną, całe rodzeństwo, nieraz bardzo liczne, nie zaliczałyby potem poprawczaka. Wbrew temu, co sądzi społeczeństwo, środowiska, które rodzą przestępczość, nie są w Polsce liczne. Wytypowanie rodzin zagrożonych przestępczością nie byłoby trudne, przynajmniej obecnie. Około czterdziestu procent wychowanków poddaje się procesowi resocjalizacji i nie wchodzi na drogę przestępstwa. Pozostali trafiają już do dorosłych więzień.

Po wyjściu z Zakładu wychowankowie wracają do swoich rodzin i środowisk. Chociaż trudno jest o pracę, wielu ją znajduje, ale często nie wytrzymuje presji otoczenia; podejrzliwości i patrzeń na ręce. Demoralizacja, a więc zmiana systemu wartości, pomieszanie dobra ze złem, potrafią odezwać się pod wpływem impulsu i wtedy...

Posiadają inny system wartości, swoistą moralność. Ktoś, kto zabił np. policjanta, może być szanowany w tym środowisku, ktoś, kto zabił własną matkę wdeptany w ziemię. Inaczej jest traktowany ten, kto katuje żonę, niż ten, kto zgwałcił dziewczynkę.

W poprawczaku są lekcje religii, kaplica, ksiądz kapelan i tacy, których ksiądz zwyczajnie lubi. Na religię ucześniejsza jednak mniejszy odsetek wychowanków niż w normalnych szkołach. Ich etyka nie pokrywa się z zasadami wiary.

Waldemar Fiedorowicz

Zmęczenie wylazło z każdego zakamarka. Porzucona butelka, postrzępiony plachec gazety unosi się w podmuchach wiatru. Jegomość ubrany w kraciastą marynarkę wędrował wokół pierzei rynku miejskiego bez celu, zamyślony; nawet kiedy kościelne dzwony odmawiały Anioł Pański on się nie zatrzymał, dalej wędrował w sobie skureczony, prawie nieobecny. W Urzędzie zza nowych firanek ktoś gospodarskim okiem mierzył ulice, planował inne oblicze miasta, kreślił w wyobraźni kolorowym flamastrem swoją wizję, bez smutnych kufajek, szklanych łufek przytrzymywanych zsiniałymi wargami z ulamanym papierosem, bez beznadziejnych widoków, bez pejzażyków upstrzonych odhodami much jak tajemniczym alfabetem czy szyfrem. W wyobraźni rosły kamienice, pyszniły się fasadami, na których ucepiłono kolorowe skrzynki z kwiatami, a po marmurowych płytkach sunęły korowody mieszczan podczas wieczornego spaceru. Latarnie stylowe oświetlały dyskretnie rynek miejski. Ludzie się wzajemnie pozdrawiali. W witrynach sklepowych pyszniły się zamorskie (czyt. kolonialne) towary. I gdyby nie kolor przedwieczera, jakaś żółć zmieszana z brązem, nikt by się nie domyślił, że to jeszcze jedna fotografia sprzed laty wielu, wyretuszowana marzeniami, odległa w czasie i odległa w nadziejach.

Małe miasteczko Z. wielokrotnie pod-

Zakład poprawczy jest podobny do wszystkich zakładów tego typu: duży budynek z kratami w oknach. Ogrodzony wysokim płotem, przy bramie budka wartownika. Plac, na którym stoi, jest też ponury - niewiele tam zielonej trawy i ani jednego drzewka. Dzwonię do bramy i w okienku miga mi znajoma twarz. Wartownik uśmiecha się i wyskakuje z portierni. W rękę trzyma pęk kluczy. Ta sama procedura przy drzwiach wejściowych. Na szczęście zdążyłam się przyzwyczaić. Pierwsze piętro, długi korytarz i otwieram drzwi do małych pomieszczeń, gdzie znajduje się gabinet lekarski i zabiegowy. Przebieram się, kiedy wchodzi Basia - moja pielęgniarka - drobne, urocze stworzenie. -Znowu babka ziemniaczana - mówি wydymając małe usta. Wzdycham. W każdą środę, kiedy tu przychodzę, zmuszam się do tej babki, marząc w cichości ducha o jakimś kotlecie. W międzyczasie przychodzi Teresa (którą w duchu nazywam piękną Teresą). Wysoka, postawna, zgrabna. Jest psychiatrą w zakładzie - kiedyś była modelką. Lubimy ją z Basią ogromnie, chociaż dzieli nas dziesięć lat różnicy. Te kilka chwil, kiedy możemy przebie-
rając się poplotkować należą do naj-

noszące się z ruin, ale coraz bardziej wioskie, choć na zagumieniach wyrosły letnie kuchenki, choć nie depeze już po nich było tylko letniki z pobliskiego miasta przyjeżdżają żeby odpocząć, pospacerować między zagonami warzywnika, oprzeć się o płot, porozmawiać z sąsiadką, opisać swoje mieszkanie w mieście i meble *pani, nie uwierzy, taki połysk, że my z mężem z rana zamiast lustra - ja się czeszę a mąż*

Z zapisknika

golenie przy regale uwskutecznia, czasami wychodzą na polne drogi poza miasteczkiem Z. prowadzące do pobliskich wsi, obok cmentarzy zapomnianych i wtedy odwracają głowy i patrzą jak strzelają wieże kościoła, jak baniaste kopuły cerkwi tkwią tak samo w pejzażu. I pewnie wtedy wraca na chwilę młodość, przywoła wspomnienie jakiś letni wieczór, i zamiast dezodorantów powieje zapachem jaśminów i akacji. I choć na chwilę ogarnie człowieka lekkość, niezrozumiała, i poczną się piętrzyć obrazki. I z cizsy wymieszanej z zapachem krzewów i drzew wylaniać się poczną widziadła młodości, w furkocie babeinych krynolin, jakichś powojennych skromnych perkalowych sukienek, zmieszane z okrzyka-

przyjemniejszej części naszej pracy.

Potem wszyscy zajmują się swoimi sprawami. Ja z Basią (która dźwiga ciężką torbę lekarską) udajemy się na oddziały. Puka się kluczem w kratę i wychowawca otwiera drzwi. Z całej lawiny skarg należy wyluskać te istotne. Chłopcy lubią porozmawiać. Płotą czasami trzy po trzy tylko po to, żeby nas jak najdłużej zatrzymać. Początkowo

Dziwny świat

denerwowało mnie to gadanie, te ich natarczywe spojrzenia wciskające się pod fartuch, za dekolt, oblepiające nogi. Później przyzwyczałam się i nie robiło to na mnie żadnego wrażenia. Oni też przyzwyczailli się do mnie. Przestałam być nowością, sensacją w ich monotonnej egzystencji. Wkrótce też zaczęłam rozróżniać twarze, imiona. Z bezkształtnej, wrogiej masy zaczęły wynurzać się poszczególne osoby.

Po obchodzie wracałyśmy do swoich apartamentów. Spisywałam raport.

mi, z których pamięć pocznie tworzyć ciągi zdań, monologów postrzępionych, fragmentów dialogu nie wiedzieć z kim i po co... I cały gwar przeszłości wleje się ze swoimi radościami i smutkami. I pocznie w nas tkąć swoją barwną tkaninę. I wylonią się z niej znajomi, bliscy, najbliżsi...

Deresz, poczciwa szkapina, klaszcząc podkowi o asfalt i ciągnąc za sobą furę zbliża się do małego miasteczka Z. Z półkoszków patrzę na ulice i domy mojego dzieciństwa. Pachnie pewnie bułką i landrynami. Tata coś opowiada i zaczynam się dziwić, że jest tak rozmowny. Ale i na tym obrazie poczyną się ściemniać. Znowu jakaś fotografia, może z połowy lat pięćdziesiątych, trzymam się kurczowo wozu w drodze, pewnie na odpust wieziony furą do parafialnego kościoła.

Mieszają się we mnie światy. Patrzę na wyszczerbione schody prowadzące do miejscowego klubu "Pod Burmistrzem", ulokowanego w podpiwniczeniu urzędu, jak na betonowe zstępowanie w przepaść. Śmierdzi uryną. W małym miasteczku Z. ktoś organizuje nową akcję zbierania podpisów. Ślinione kopiowe ołówki utrwalają rzędy nazwisk. Mroczno od pogroźek. Więcej już inne wiatry. Bułgocze nienawieścią.

Jaką fotografię wyretuszujecie czas za lat kilka? Czy kolorowe fotografie nie pozostaną jak zsiniałe wargi staruszki pokryte grubą warstwą szminki?

Jan Leończuk

Zaglądałam do Izby Chorych, badałam nowoprzyjętych. Co chwila wpadał ktoś ze swoimi problemami.

Wsuwał się Jarek - brzydki, wysoki i pryszczaty. Jak zwykle zaczynał snuć prawdziwe, czy też zmyślane opowieści o swojej nowej miłości, którą poznał na przepustce - Jarek był homoseksualistą, z czym się nie krył. Ale miał w zakładzie ciężki żywot.

Przychodził Januszek - kilkunastoletni, wąty blondynek o przeraźliwie niebieskich oczach - sama niewinność i wdzięk - mający za sobą kilkanaście włamań. Napychałyśmy go witaminami, bo był ciągle blady i miał sińce pod oczami. Chłopcy lubili do nas zaglądać. Głównie po to, żeby powiedzieć o swoich problemach, o których nie można było przecież mówić przy całej grupie.

Dręczyła nas plaga tatuaży, które robili sobie nieudolnie powodując liczne zakażenia i paskudzące się późnej rany. Cierpliwie zmienialiśmy opatrunki.

To był dziwny świat rządzący się swoimi prawami. Czasem okrutnymi, czasem zadziwiająco dorosłymi jak na tych chłopaków.

Anna Gniewkowska

Widziane oczami dziecka

W Hajnowskim Domu Kultury swoje prace dyplomowe prezentowali absolwenci Instytutu Wychowania Artystycznego Uniwersytetu M.C. Skłodowskiej w Lublinie. Prace powstały w pracowni artysty grafika Grzegorza Dobiesława Mazurka. Zaprezentowali się następujący twórcy: Agnieszka Bączyk, Jan Bernat, Dorota Białobrzaska, Zbigniew Budzyński, Ewa Daszuta, Kazimierz Drapiewski, Barbara Hapon, Renata Milewska, Bożena Prachnio, Cezary Rogala, Anna Sidoruk, Marzanna Sieniawska, Teresa Wojewoda, Marzena Żywicka.

Prace wykonane w technikach tradycyjnych, takich jak akwaforta, linoryt, akwaforta, przedstawiały różne cykle tematyczne od krajobrazu do prób przedstawienia materii ożywionej. Nauczyciel plastyki w Szkole Podstawowej Nr 2 w Hajnowce Jarosław Perszko po obejrzeniu wraz z dziećmi wystawy zmobilizował uczniów do napisania krótkiej recenzji. Recenzje te można podzielić na trzy grupy:

Negująca wystawę ze względu na brak zainteresowania plastyką i globalną negację wszystkiego co niesie szkoła.

Zaciekawienie wybranym jednym dziełem i przedstawienie w formie opisu.

Próbą szerszego spojrzenia na utwory artystyczne.

W każdej recenzji można znaleźć co najmniej po kilka zdań wartych odnotowania, miłych dla twórców, bądź też mobilizujących ich do pracy. Zadziwia dojrzałość i głębia spojrzenia piszących:

Najbardziej jednak spodobało mi się sześć obrazów, a raczej scen tworzących jeden wielki ciąg. Były to dzieła Kazimierza Drapiewskiego akwaforta c/a 1992. Jedyne czwarta scena to epilog. Artysta w poszczególnych dziełach ukazywał obrazy z życia człowieka. Za pomocą sztuki pokazał pracę, starość, modlitwę i finał życia, koniec ziemskiej próby. Obrazy są wykonane tak, aby sprawiały wrażenie starych, zniszczonych już dzieł. Są jakby zatrzymane w czasie. Wykonane są na styl żydowski. Ukazują życie jak smutny sen, który zawsze kończy się tak samo. Człowiek się urodzi, będzie żył w ciągłych kłopotach. W pośpiechu dnia nie będzie zauważał nawet, że się starzeje. Na jego twarzy pojawiają się zmarszczki, spracowane ręce nie są już tak jedwabiste jak dawniej. Człowiek coraz częściej zaczyna tracić wartość istnienia samego siebie, nie widzi sensu życia, zaczyna myśleć o śmierci. Cóż wtedy? Idzie do kościoła, klęka na kolana, składa ręce, spuszcza głowę i

prosi Boga o wybaczenie grzechów, by móc spokojnie, z czystą duszą iść w ciemność matki ziemi i tam oczekiwać na sąd ostateczny. Wcześniej czy później nadchodzi ta chwila. Od tego czasu człowieka zastępuje kamienny krzyż, zdjęcie na nim i barwne kwiaty gdzieś na smutnym cmentarzu pod tajemniczym drzewem. Spójrzmy więc, ile może powiedzieć zwykły obraz. Przecież wyrazy to nie jedyny środek porozumiewania się. (Joanna klasa VI)

Równie dojrzałą recenzję przedstawiła Kasia z klasy VI:

Nie spodziewałam się, że za pomocą obrazków grafiki można przedstawić świat i życie ludzi. Dzieje się tak w I, II, III, IV, V scenie grafiki, sztuki wykonanej przez Kazimierza Drapiewskiego w 1992 r. Przedstawione są tam kolejne etapy życia, czynności codzienne pewnego człowieka, który jest prawdopodobnie z pochodzenia Żydem. To właśnie on jest postacią przedstawioną w tym dziele. Jak już wcześniej wspominałam sztuka Kazimierza Drapiewskiego składa się z pięciu scen, w których każda przedstawia co innego. W pierwszej scenie widzimy człowieka - Żyda w skromnym, nieco podartym ubraniu, który jak podejrzewam, nocą przechadza się po kamiennych uliczkach. Ten jego spacer odbywa się w ciemnościach nocy, ponieważ Żydzi byli kiedyś prześladowani. Z tego można wywnioskować, że "akcja" chyba rozgrywa się dawno temu, a człowiek przedstawiony - prawdopodobnie Żyd, nigdy nie wychodził jak podejrzewam w dzień ale ciemną nocą, bo bał się prześladowców. Te obrazki składające się z I, II, III, IV, V sceny, wykonane przez Kazimierza Drapiewskiego tworzą jakby ilustrowaną książkę, bo przecież możemy dowiedzieć się o życiu, w tym przypadku Żyda, jego czynnościach codziennych i sprawach.

Bardzo dojrzałe opisuje Joanna z klasy VII swoje wrażenie z wystawy, wnikając w przesłanie, które wnosi do wytworu ręka artysty. *Z grafiki podobała mi się praca Renaty Milewskiej "W zwierciadle". Ta praca zalicza się do akwaforty. W tej grafice kobieta przygląda się swemu wspaniałemu, cudownemu i bardzo delikatnemu ciału. Zwierciadło to stoi na tle wiersz, które podziwiają jej piękną pleć.*

Po obejrzeniu prac Cezarego Rogali Agnieszka z klasy VIII pisze: *Jako pierwsza nasunęła mi się następująca myśl: Oto jest pustynia. Jedyńą oazą życia, możliwością przetrwania jest budynek, w którym można się schronić. Aby do niego dojść należy przebyć wiele drogi, na której napotka się wiele trudności. Wszystko to, co umożliwia dostanie się do twierdzy jest nikłe. Większość stanowią przeszkody nie do przebycia. Ich ilość jest przedstawiona za pomocą nawalu kamieni.*

Cykl Invitro Zbigniewa Budzyńskiego

go również wywołał zamierzone przez autora reakcje. Osobiście spodobała mi się praca Zbigniewa Budzyńskiego, zatytułowana Invitro. *Była to technika połączona akwaforta i akwaforta. Spodobała mi się w niej oryginalność i technika w jaki sposób została zrobiona. Praca ta przemawiała jakby do mnie. Można wyobrazić sobie różne kształty. Kiedy wracałem z wystawy byłem zafascynowany. Wieczorem akurat był program o plastyce i kiedy oglądałem telewizor, wspomniałem o tej pracy i starałem się przypomnieć ją.*

Inna recenzja na ten temat napisała przez Anię z klasy VIII. *Wpadła mi w oko praca Pana Zbigniewa Budzyńskiego. Było to połączenie akwaforty i akwaforty. Przedstawiała ona jaskinię, w której panowała cisza i ciemność, a w głębi coś jakby się poruszało. Byłam poruszona a jednocześnie przerażona. Zastanawiałam się, co mnie tak zafascynowało. Po powrocie do domu długo nad tym myślałam.*

Tych kilka młodzieńczych uwag dowodzi, że nawet nie przygotowany na odbiór sztuki, na zrozumienie jej sensu człowiek może dostrzec jej wartość. Sztuka nastawiona na pobudzenie wyobraźni dobitnie potwierdza tę regułę. Dziecko nawet w stwierdzeniu: *bardzo mi się podobała grafika Bożeny Prachnio pt. "Leśna symfonia"* oddaje cały swój nieskażony zachwyt nad jedną z prac. Paweł z klasy VI pisze dalej: *z góry widać światło pochodzące od słońca, które oświetla i inne drzewa. Światło, promienie słońca dają tym drzewom życie. Według mnie ten obrazek pokazuje podziękowanie drzew za światło.*

Aneta z klasy V rozważała techniczny problem: *Te zmysłowe rysunki bardzo mi się podobały. Wiele z nich było tajemniczych. Ta właśnie tajemniczość wywarła na mnie ogromne wrażenie. W dalszej części swojej wypowiedzi odpowiada na swoje pytanie: ... tajemniczość ta była zawarta w kropkach i kreskach. Jakieś dziwolągi tworzyły mi się przed oczami, kiedy oglądałam to dzieło. Ta tajemniczość i strach były genialne.*

Ewa z klasy VI opisuje pracę Doroty Białobrzskiej: *... praca przedstawia ciemną, ponurą uliczkę w czasie deszczu. Praca ta pobudzała we mnie nastroj smutku.*

Na przykładzie tych młodzieńczych recenzji można wysnuć wnioski, iż zetknięcie się ze sztuką wyzwala nieskażone, niewypaczone, bardzo osobiste podejście. Młode pokolenie chłonie rzeczywistość nie tylko w negatywnych jego przejawach - subkultury, ale i z pozytywnej strony. Nie jest nastawione na "papkę kulturową", lecz w umiejętny sposób kierowane i kształcone otwiera się na wartości, które nie-
sie sztuka.

Zbigniew Budzyński

KOMPAKTOWISKO

Lato w pełni i wszyscy czekamy na jakiś szalony przebój, krajowy lub zagraniczny, który wypełni ciszę naszych plaż i sparaliżuje uczucia uczestników prywatki. Rok temu tak właśnie śpiewał Chris Rea i nie ma wątpliwości, że producenci wymyślą coś, by wzmocnić ciśnienie krwi w sezonie urlopowym. Może autorem takiego hitu będzie coraz popularniejszy Kenny G., który dosłownie wypełnił puste miejsce po Gato Barbierim, a może jakiś polski tym razem zapiewają. Niestety *Budka Suflera* wyrwała się ze swoją *Ciszą* trochę za wcześnie. Jeżeli zaś przeboju nie będzie - co zawsze może się stać - kilka propozycji płytowych na upalne wieczory, kiedy rozgotowany mózg nie jest w stanie przyjąć niczego innego poza muzyką.

* * *

PORTER BAND: HELICOPTERS. *Sonic*.

Stare? Ale dobre. Wytwórnia płytowa *Sonic* w swojej niezmiernie wędrownie po starych utworach polskiego rocka natknęła się na album brytyjskiego wokalisty i gitarzysty Johna Portera, który po ślubie z Polską zamieszkał tu na stałe. Swego czasu ta

płyta była wydarzeniem muzycznym na naszym rynku, ale i dzisiaj po latach - w wersji CD - brzmi nadzwyczaj świeżo. Zwłaszcza w towarzystwie rapu i kolejnej nowej fali muzyków spod znaku Jarocina. Mimo, iż Porter wówczas nie był najlepszym gitarzystą na świecie, to w genach miał zakodowany brytyjski profesjonalizm. Staranność dobranego materiału, wykonanie i wreszcie technika nagrania, swobodnie mogły tę płytę wysłać na Wyspy. Że tak się nie stało, wina w tym oczywiście braku pieniędzy na promocję i hermetyczność brytyjskiego show-bussinesu. Jeżeli ktoś kolekcjonuje historię polskiego rocka, to płyta *Helicopters* bezwzględnie powinna znaleźć się w jego zbiorach.

* * *

LOUISIANA RED: THE LAST MOHICAN OF THE BLUES. *Polton*.

Kolejna płyta polsko-zagraniczna, wydana tym razem przez *Polton*. Louisiana Red jest starym Murzynem, który pozostał wierny korzeniom bluesa. Nie poszedł w ślady swoich wielkich kolegów z Chicago, którzy muzykę bluesową zelektryfikowali i uczynili z niej produkt dla gawiedzi. Stąd może Louisiana Red nie należy do najwięcej zarabiających gwiazd muzyki rozrywkowej i może dlatego dał się skusić na przyjazd do Polski, koncert w telewizji i

nagranie płyty. Towarzyszy mu na niej nasza *Nocna Zmiana Bluesa*, która - może najlepsza w kraju - nie dorasta jednak klimatem do "czuja" pana Louisianny. Solówki są wymuszone, podkład często za gęsty i przeszkadzający soliście. Ale dla kolekcjonerów bluesa na całym świecie jest to nie lada kasek. Tego typu płyty, nagrywane przez gwiazdy gdzieś w świecie, uchodzą za białe kruki. Może być to dla NZB wielka szansa na świat.

* * *

RAY CHARLES: MY WORLD. *Warner Bros.*

Dziesięć piosenek słynnego weterana muzyki soul trochę rozczarowuje jego wielbicieli. Dla fanów Raya Charlesa jest tu zbyt dużo nowoczesności i komercji, zwłaszcza w podkładach instrumentalnych. Jedynie głos i interpretacja pozostają od lat takie same. Kompozycje mają mało wspólnego z czarną muzyką i pisane są przez współczesnych kompozytorów pop-music. Do nielicznych wyjątków należy evergreen Leona Russella pt. *A Song For You*, któremu Charles nadaje bardzo oryginalny osobisty styl. Ciekawostką jest niewielki udział w nagraniu tej płyty takich sław białego bluesa jak John Mayall czy Eric Clapton.

MR. CD

DRODZY WIDEOMANI!

Wakacje to zwykle czas wypoczynku na świeżym powietrzu. Wszyscy chętnie opuszczamy nasze betonowe siedliska i udajemy się na spotkanie z przyrodą. Wycieczki, biwaki, obozy wędrownie wypełniają najczęściej każdą wolną chwilę, o ile oczywiście pogoda jest sprzyjająca.

Gorzej jest wówczas, kiedy za oknami pochmurno i deszczowo. A tego przecież nie sposób uniknąć w naszym białostockim klimacie. Proponuję zatem drodzy Państwo na "mokre" dni rozrywkę przed małym ekranem. Z bogatej oferty dystrybutorów wybrałem wszystkim miłośnikom filmu kilka interesujących, moim zdaniem propozycji:

Gorąco polecam Państwu przebojowy film akcji pt. *Patriot games* w reżyserii **Ph. Noyce**. Jest to opowieść o byłym agencie CIA, który postanawia zerwać z pracą i poświęcić się rodzinie. Jack Ryan podczas wakacyjnego po-

bytu w Londynie udaremnia zamach IRA na kuzyna rodziny królewskiej. Jack po krótkiej rekonwalescencji w szpitalu wraca do USA, aby wreszcie odpocząć. Nie dany jest mu jednak spokój. On i jego rodzina są na celowniku bojówkarzy IRA. Znakomite kino akcji. Wiarygodne postaci, szybkie tempo i niezrównany **Harrison Ford** w roli głównej. To warto zobaczyć.

Kochany urwis to komedia, której nie wolno przegapić. Bohaterem filmu **Dennisa Dugana** jest sześciolatek Junior. To niegroźnie wyglądające dziecko jest określane przez wielu jako mały szatan. Wychowuje się ów mały "diablik" w sierocińcu i żadna z rodzin poszukujących swojego szczęścia nie może zdecydować się na Juniora. W końcu jednak nasz "kochany urwis" znajduje się w rodzinnym ognisku. Oj, będzie w nim bardzo gorąco. Polecam ten super zabawny film wszystkim wideomanom; tym małym - ku zabawie, tym starszym - ku przestrodze.

Huragan ognia to film dla miłośni-

ków twardych pięści i mocnych wrażeń. Przedwcześnie zmarły **Brandon Lee** (syn słynnego Bruce'a) występuje w jednym ze swoich najlepszych obrazów. Odtwarza rolę spokojnego studenta architektury, który przez przypadek dostaje się w rozgrywkę między handlarzami narkotyków. Jako Lo, który jest mistrzem sztuki, zmuszony zostaje przyjąć wyzwanie rzucone mu przez gang. *Huragan ognia* to sprawnie zrealizowany, szybki film akcji, z niebanalnym scenariuszem i dobrą grą aktorów. Szkoda tylko, że już więcej nie zobaczymy Brandona Lee, który tragicznie zginął na planie swojego najmłodszego filmu.

Na zakończenie zarekomenduję jeszcze Państwu kilka tytułów, na które warto zwrócić uwagę, będąc w wypożyczalni. Są to: *Sublokatorka* (ITI), *Kochanek* (GUILD), *Pożytywka* (Imperial), *Przypadek Henry'ego* (ITI), *Ognisty podmuch* (ITI), *Hook* (ITI).

Udanych wideo-wakacji życzy
Krzysztof Derkowski

Styki i Przytyki

Dinozaury w Czarnej Białostockiej

W sobotni wieczór 29 maja Polska gra z Anglią. W domu kultury jesteśmy tuż po pierwszym gwizdku szwajcarskiego arbitra. Z profesorem Jerzym Śródkowskim musimy dzielić percepcję między telewizyjnym obrazem z Chorzowa, a wydarzeniami na scenie. Tu królują na *Nocnej zmianie dinozaurów* muzyczni pasjonaci grający w byłym klubie zakładowym Tartaku *Promień* w latach 60 i 70-tych.

Inicjatorka imprezy Irena Staniszczyk potrafiła zmobilizować gitarzystów, perkusistów, organistów, saksofonistów i akordeonistów, którzy w tamtych latach szpanowali żywą muzyką bez playbacków. Obserwując kątem oka poczynania bialo-czerwonych w potyczce z angielskimi "chartami", łapie jednym uchem dźwięki z sali.

Panowie po trzydziestce, czterdziestce... a może i pięćdziesiątce, z animuszem atakowali instrumenty, które wydobywając z siebie retrospektywne dźwięki były posłuszne ich użytkownikom. Co chwilę któryś z nich wbiegał z rozwichrzonym włosiem z pytaniem: *Jaki wynik? Kto strzelił? Czy Polacy utrzymają 1:0?* Nie utrzymali. Było tak jak dwadzieścia lat temu na Wembley, czyli 1:1. Na scenie też był remis muzycznej przeszłości z terażniejszością. Ogromna chęć wspólnego grania wyzwoliła wśród lokalnych dinozaurów pomysł organizowania dorocznych spotkań w Czarnej Białostockiej.

A więc dinozaury!

*Gdziekolwiek się ukrywacie
Na imprezę do Czarnej
Stawić się macie.*

Zielono w Knyszynie

*Jak ktoś nie wie
Niech się dowie
Dzisiaj święto jest ludowe...*

Rymowała Elżbieta Daniszewska na estradzie usytuowanej przed tablicą z napisem "Magistrat".

Jan Oltarzewski, dyrektor Wydziału Rolnictwa i Gospodarki Żywnościowej UW, życzył rolnikom pomyślności i niezłomności, a prezes Wojewódzkiego Zarządu PSL prof. Adam Dobroński normalności w życiu politycznym Rzeczypospolitej. Wcześniej była tradycyjna msza w miejscowym kościele, z udziałem orkiestry dętej pod dyrekcją "brata kapitana" Roberta Panka.

W sekwencji czysto ludowej "Na-

rwianie" z Pogorzalk zaprezentowali zielonoświątkowy obrzęd pn. "Królewna pól", "Kalinki" z Kalinówki Królewskiej repertuar śpiewany z XVIII w.; "Kaziuki" z Białegostoku melodie podwórkowe, a "Poziomki" z Knyszyna hity młodzieżowe.

Muzyką chodnikową uraczył zapelnioną widownie miejscowy zespół "Lorevs Boys", a bluesem oczarowała znana białostocka kapela "J.J.J. Blues".

Było swojsko i pogodnie. Padalo i nie padalo. Lunęło i to dobrze... w momencie ostatniego akordu Jerzego Opalińskiego.

Człowiek i przyroda

Znany przed laty instruktor sztuki recytatorskiej Zbigniew Ślęczka zainicjował konkurs pn. *Człowiek i przyroda*. Jeszcze za jego życia Miejski Dom Kultury pod kierownictwem Eugeniusza Bil-Jaruzelskiego wybrał Majówkę na miejsce spotkań recytatorów. Potem, po latach ideę ożywił Krzysztof Kobus z Dąbrowy Białostockiej, organizując imprezy w Starej Kamiennej. Po kolejnej przerwie próbę podjęła Elżbieta Lopusz z Białowieży.

Dzięki jej inicjatywie odbył się w pierwszych dniach czerwca I Ogólnopolski Turniej Sztuki Recytatorskiej i Teatralnej.

Nie wdając się w regulaminowe i merytoryczne subtelności sądzą, że impreza *Człowiek i przyroda* znalazła wreszcie swoje miejsce.

W gronie osób zainteresowanych pomysłem Zbigniewa Ślęczki postanowiliśmy, że głównym patronem imprezy w przyszłości będzie Wójt Gminy Białowieża Anna Bajko, a bezpośrednimi organizatorami: Zespół Szkół Leśnych, Białowiecki Ośrodek Kultury, Towarzystwo Kultury Teatralnej i Wojewódzki Ośrodek Animacji Kultury w Białymstoku.

Poszukując najbardziej odpowiedniego miejsca w kalendarzu uznaliśmy, że takim będzie październik, kiedy to Puszcza Białowieża nabiera najpiękniejszych barw złotej jesieni. Dodalibyśmy tylko, że jury pod przewodnictwem Andrzeja Głowackiego z Warszawy, przyznało GRAND PRIX im. Zbigniewa Ślęczki Agnieszce Wojtasz z Hajnówki.

Folklor w Zwierzyńcu

XXII Prezentacje Tradycyjnej i Współczesnej Twórczości Ludowej miały swój finał w Białostockim Zwierzyńcu w II rocznicę pobytu Ojca Świę-

tego Jana Pawła II w Białymstoku.

W piękny, słoneczny dzień 5 czerwca br. przez estradę przewinęło się blisko 500 wykonawców zorganizowanych w zespoły pieśni i tańca, folklorystyczne, obrzędowe, śpiewacze, instrumentalne i kapele ludowe.

Wcześniej, w maju, odbyły się bardzo udane imprezy regionalne w Dąbrowie Białostockiej, Drohiczynie i Mońkach.

Finalowe spotkanie w Zwierzyńcu miało charakter ludycznego pikniku, w którym obok białostockich folklorystów uczestniczyli nasi rodacy z Litwy. Polskie zespoły "Solczanie", "Ejszyszanie" i "Poluknianie" zaprezentowały programy o charakterze narodowym, z przewagą repertuaru patriotycznego.

Charakterystyczny wileński akcent brzmiał bardzo swoiście na zwierzyńceńskiej estradzie i był sympatycznie przyjmowany przez białostocką widownię. Skoro o niej mowa, to z przykrością trzeba przyznać, że była ona bardzo skromna.

Przyczyn braku zainteresowania mieszkańców Białegostoku kulturą ludową trzeba poszukiwać w samej świadomości białostoczan. Mając w 80% rodowód wiejski, starają się odciąć od swoich korzeni, co trąca fałszem i niezrozumiałą postawą wobec własnej tożsamości. Inną sprawą jest sama organizacja imprezy folklorystycznej. Doszliśmy do wniosku, że powinna się ona odbywać w naturalnym środowisku z tradycjami ludowymi i w terminie kojarzącym możliwości czasowe wykonawców z kalendarzem obrzędowym wsi.

Rozważania o wartościach tradycyjnej i współczesnej twórczości ludowej pozostawiam na doroczne spotkanie folklorystów w listopadzie br., a na dzisiaj sygnalizuję jedynie nowe zjawisko, jakim jest folklor sprywatyzowany. Czy pojawienie się prywatnej grupy Mikolaja Turkowicza z Bielska Podlaskiego oznacza urynkowanie folkloru?

Pytanie to stawiam znawcom przedmiotu, jako że zaistniało zjawisko, jakiego dotychczas w białostockim folklorze nie było.

Pytanie drugie dotyczy nazwy imprezy *W poszukiwaniu folkloru* - czy jest jeszcze czego poszukiwać?

Antoni Szalkowski z Pogorzalk częściowo odpowiedział nowym programem pt. *Królewna pól*, będącym obrzędem zielonoświątkowym z własnego środowiska.

A więc - może jednak szukać!

Uroczysko Topiło

Bajkowy zakątek Białostocczyzny, z czystą wodą, dziewiczą przyrodą, kolejką wąskotorową z kolorowymi wagonikami był miejscem podsumowania XII Międzynarodowego Festiwalu Muzyki Cerkiewnej.

Przy ognisku spotkali się organizatorzy i realizatorzy największej imprezy muzycznej w naszym regionie. Przy padającym "złocie" z nieba, w zaciszu tataraku i przy akompaniamentie rechoczących żab, dyrektor festiwalu inż. **Mikołaj Buszko** wręczał podziękowania pilotom, współpracownikom, sponsorom i wykonawcom zadań festiwalowych.

31 chórów krajowych i zagranicznych, ponad 1000 wykonawców, dziesiątki koncertów towarzyszących festiwalowi, wymagały ogromnych wysiłków organizacyjnych. Kuchnia tej gigantycznej i pracowitej imprezy stawiała przed realizatorami wymóg zespolenia tysiąca szczegółów. Nie zawsze i nie wszędzie wszystko grało. Wąskim gardłem imprezy były hotele. Niektóre z nich nie były przygotowane należycie na przyjęcie gości, co w sumie obciążało sumienie organizatorów festiwalu. Nieodzowna stała się wizja lokalna wszystkich obiektów hotelowych, gastronomii i całej infrastruktury festiwalowej przed imprezą, aby zapobiec przykrym niespodziankom i nieporozumieniom.

Poddaję również pod rozważenie gospodarzowi imprezy potrzebę zorganizowania krótkiego szkolenia dla pilotów zespołów, szczególnie w zakresie topografii i znajomości sztuki przewodnictwa.

Na horyzoncie festiwalu pojawia się liczba "13". Czy będzie ona feralna? Myślano o tym w uroczysku Topiło i śpiewano "mnogaja leta"!

Zalew piosenki w Michałowie

Zapowiadany przez nas w czerwcowym *Styku* Wojewódzki Przegląd Piosenki Dziecięcej odbył się zgodnie z założeniem organizatorów.

Marian Hajduczenia, dyrektor miejscowej placówki kultury, potrafił zjednoczyć przy organizacji imprezy lokalnych pasjonatów piosenki. Z przyjemnością obserwowałem działania młodych ludzi, którzy z ogromną kulturą i taktem podejmowali młodych artystów.

Interesująca scenografia, kompetentne prowadzenie konferansjerki, sprawny przebieg imprezy i dziecięcy

temperament wykonawców dodały kolorytu temu spotkaniu.

Jury, któremu miałem przyjemność przewodniczyć, wybrało spośród 13 zespołów: "Zielone nutki" ze Szkoły Podstawowej Nr 48 w Białymstoku (nagroda dyrektora Wydziału Kultury, Sportu i Turystyki UW), "BIS" z Czarnej Białostockiej (nagroda wójta Gminy Michałowo); "Fanta" z Michałowa (nagroda dyrektora Gminnego Centrum Kultury, Sportu i Rekreacji); "Poziomki" z Knyszyna (nagroda przewodniczącej rady gminy); "Duszki i puszki" - młody zespół z Narewki (nagroda firmy "Best").

Zalew piosenki ma przyszłość i może taką właśnie przyjmie nazwę.

Cywilizacja jednak za mocno wkracza w dziecięcą wyobraźnię artystyczną, eliminując poprzez playbacki naturalny wdzięk i talenty wokalne młodych wykonawców. Organizatorzy woleliby, żeby wykonawcy występowali na żywo. Czy to się uda? Korekty regulaminu są możliwe, a życie dopisze partyturę na głosy. Najlepiej żeby były one naturalne, dziecięce i własne. Technika może wspomagać, ale nie kaleczyć i deformować tego co stworzyła natura.

Dęciaki w Siemiatyczach

Na zaproszenie Siemiatyckiego Ośrodka Kultury w **I Nadbużańskich Prezentacjach Orkiestr Dętych** wzięło udział 8 orkiestr z Białostocczyzny i woj. siedleckiego. W musztrze paradnej podziwialiśmy oryginalną i ekspresyjną prezentację orkiestry Podlaskiego Oddziału Straży Granicznej, z solowym występem właściciela czyneli; skromny i prościutki układ dziecięcej orkiestry OSP ze Studzianek; dużą formę przestrzenną w wykonaniu młodzieży z Suchowoli; interesujący układ z rekwizytami zrealizowany przez młodzież z Zespołu Szkół Zawodowych PKP z Białegostoku i konwencjonalną musztrę orkiestrantów z Zespołu Szkół Zawodowych Zakładu Energetycznego w Białymstoku.

Na estradzie obok wymienionych pojawiły się także: orkiestra kolejowa z Siedlec, policyjna z Białegostoku.

Na estradzie obok wymienionych pojawiły się także: orkiestra kolejowa z Siedlec, policyjna z Białegostoku, Szkół Zawodowych z Hajnówki.

Każda z koncertujących orkiestr zaprezentowała własny stylowo obraz muzyczny z repertuarem, czasami przerastającym możliwości wykonawcze orkiestry.

Dyrygenci Marian Pasek, Krzysztof

Bielaszko, Robert Panek, Jerzy Zdanewicz, Franciszek Mocarski, Marian Zajkowski, Krzysztof Kamiński i Józef Korkus udowodnili siemiatyckiej widowni, że w orkiestrach jest siła i warto w nie inwestować.

Zastanawiali się nad tym gospodarze i snuli marzenia o własnej orkiestrze, która czyniłaby honory domu na II Prezentacjach, w roku 1994.

Nie wypada aby przyszły powiat nie miał własnej dętej...

Maluchy w Brańsku

W bogatym programie obchodów 500-lecia Brańska zmieściły się przedszkolaki, które uczestniczyły w *I Wojewódzkim Festiwalu Piosenki Najmłodszych*.

Wypełniona po brzegi widownia miejscowego kina była świadkiem 61 prezentacji młodych artystów.

Przedszkolaki śpiewały z podkładem muzycznym (tzw. pół playbackiem) lub a capella, w jednym przypadku rodzeństwo Ostrowskich z Brańska grał na akordeonie rodzic. Zdarzyły się także duety i kwartety, spontanicznie dobierane w czasie trwania imprezy.

Jury pod przewodnictwem Jana Niewińskiego wyróżniło I nagrodami: **Agnieszkę Kajdewicz, Anetę Stoksik i Paulikę Boreczko** z Białegostoku oraz **Monikę Kondrat** z Brańska. Podobał się tercet w składzie: **Krzysztof Nieldzin, Sandra Kunicka, i Łukasz Dworakowski z Supraśla**. Wszystkie dzieci otrzymały pamiątkowe dyplomy, upominki oraz reklamówki Coca - Coli.

"Pierwsze koty za płoty" mówi przysłowie, które z powodzeniem można odnieść do brańskiej imprezy. Organizowanie piosenkarskich spotkań przedszkolaków ma sens. Potwierdziły to maluchy i szczególnie żywo zainteresowani imprezą rodzice. W przyszłości należy jednak zadbać o dziecięcą scenografię, dobrą wróżkę i właściwy dobór zabaw w czasie imprezy.

Za pomysł podziękowanie należy się Zdzisławowi Paulińskiej z Białegostoku, za pracę z dziećmi Stefanowi Czarneckiemu z Czarnej Białostockiej, a za szczodrość Mirosławowi Szymańskiemu z Brańska.

Dzieci mamy zdolne, a rodziców chętnych do towarzystwa. W Brańsku na jednego wykonawcę wypadło dwoje statystycznych opiekunów, plus babcia.

Kazimierz Maksymilian Derkowski

Nowe barwy kultury

Jeśli ktoś myśli, że święto działacza kultury zniknęło na zawsze z obrzędowego kalendarza, muszę wybić go z błędu. Po trzech latach nieobecności 11 czerwca w Knyszyńskim Ośrodku Kultury odbyło się... Spotkanie Animatorów i Twórców Kultury.

Przybyłych przywitała znana poetka ludowa **Elżbieta Daniszewska**. Dyrektor Wydziału Kultury Sportu i Turystyki UW **Eugeniusz Bil-Jaruzelski** przedstawił kondycję kultury na Białostocczyźnie. Wielkim wstrząsem było zlikwidowanie w 91. roku Fundu-



fot. pete-foto.

szu Rozwoju Kultury. Na szczęście instytucje kultury nauczyły się żyć i funkcjonować w nowy sposób. Stan kultury w samorządnej gminie zależy od działalności regionalnych towarzystw, zamożności placówki kultury, stosunku samorządu do spraw kultury; kultura istnieje w formie uspołecznionej a nie scentralizowanej. Powstają lokalne pisma, żywo rozwija się ruch wydawniczy. Dzięki instytucjom takim jak Wojewódzki Ośrodek Animacji Kultury i Biblioteka Publiczna, odpowiedzialności samorządów, nowym sposobom sponsorowania i zdobywania funduszy, wzbogacają się imprezy wrośnięte w tradycję Białostocczyzny: Orient Sokólski, Dni Muzyki Cerkiewnej, imprezy polonijne powstałe dzięki inicjatywie Wspólnoty Polskiej i TKT (*Kresy '92*), rozwija się kultura mniejszości narodowych (pomysł prezentacji artystycznych Białystok - Grodno); Kościoły uczestniczą w rozwijaniu tkanki kulturalnej, czego przykładem są ekumeniczne Dni Kultury Chrześcijańskiej w Zabłudowie - kultura kwitnie nowymi barwami.

Zgodnie ze zdaniem Eugeniusza Bil-Jaruzelskiego (i wielu, wielu innych), który podkreślił, że o kulturze decydują nie instytucje, nie finanse nawet, a ludzie, w tym roku rozwiązał się worek z nagrodami (może trzeba było odrobić kilkuletnie zaległości).

Złotą odznakę "Zasłużony

Białostocczyźnie" otrzymali: **Anna Bajko, Zygmunt Ciesielski, Ewa Cywińska, Sokrat Janowicz, Czesław Gładczuk, Stanisława Kowalczyk, Stanisław Ołędzki, Piotr Sawicki, Waldemar Smaszcz, Krzysztof Tur, Albin Waczyński, Wojciech Załęski.**

Srebrną odznakę otrzymali: **Mikołaj Buszko, Mieczysław Czajkowski, Bożena Sawicka, Zenon Siewonowski, Iwona Smielak.**

Minister Kultury i Sztuki przyznał odznakę "Zasłużony Działacz Kultury" szczególnie wyróżniającym się pracownikom i działaczom kultury. Odznakę otrzymali: **Jolanta Białek, Andrzej**

Dworakowski, Stanisława Kaczanowska, Nona Kurianowicz, Marianna Łapińska, Teresa Litman, Jadwiga Majerowska, Jerzy Nowicki, Ewa Ostrowska, Krzysztof Szyszko, Ewa Wroczyńska.

Oprócz tego Ministerstwo Kultury i Sztuki przyznało indywidualne i zbiorowe dyplomy honorowe.

Ozdobą artystyczną spotkania były fragmenty spektaklu Wojciecha Szlachowskiego *Zywa klasa*. Wzór z niej wziął dyrektor WOAK-u **Kazimierz Derkowski**, który posadził w ławkach stanowiących scenografię spektaklu ludzi kultury i poprowadził z nimi rozmowy. I tak **Stanisława Kowalczyk** dyrektorka Gminnego Ośrodka Kultury w Janowie, znanego z unikalnego dwuosnowowego taktwa, otrzymała finanse z ministerstwa na upowszechnienie twórczości ludowej i edukację następców. Kierowniczka Filii nr 3 BP **Apolonia Bielawska** opowiedziała o pracy swojej placówki - otwartej przez wszystkie dni tygodnia, święta, ferie i wakacje. Filia jest także miejscem spotkań z literatami, dyskusji o książkach, quizów, konkursów, lekcji bibliotecznych. **Jolanta Białek** ze szkoły w Juchnowcu od trzech lat organizuje *Spotkania z Melpomeną* - festyn różnych form teatralnych; w tym roku zorganizowała też *Święto Słowa*, o którym pisaliśmy w *Styku*. Państwo **Kaczyński i Bielawscy** - właściciele sprywatyzowanej kul-

tury w Wasilkowie mówili o plusach i minusach z tym związanych: praca nabrała dla nich sensu, widzą konkretne efekty działania, ale jednocześnie popadli w konflikty z radą kultury i burmistrzem. **Lila Panasewicz**, red. nac. *Nowej Gazety Sokólskiej* obchodziła skromny jubileusz - wydano już 10 numerów gazety. **Marian Hajduczenia** z Centrum Kultury w Michałowie znalazł sprzymierzeńców swojej pracy i stworzył lawę kultury; w lecie tego roku zorganizuje spływ doliną górnej Narwi z przystankami ozdobionymi kulturalnymi atrakcjami. **Waldemar Smaszcz**, krytyk literacki najpierw pożałił się, że w Białymstoku brak tradycji, brak sporów i pism literackich, a następnie pochwalił Bibliotekę Publiczną za w pełni profesjonalne *Portrety Literackie*.

Święto zakończyło się - zgodnie z tradycją - przy suto i gustownie zastawionym stole. Szczególne zainteresowanie i pytania o przepisy wzbudziły salatkę. Do tej pory zastanawiam się jakie były ich składniki...

Iwona Wąsowicz-Szczepaniak

AFORYZMY

Dziury ozonowe są nie tylko w atmosferze, ale i w systemie oddychania naszych serc.

* * *

Wielbłądowi każdej nomenklatury niełatwo przejść przez ucho igielne demokracji.

* * *

Czy konsumującym miłość też przysługuje ochrona praw konsumenta?

* * *

I najnikczemniejszy zdrajca w chwilkach trwogi będzie siebie nobilitować wizytówką Konrada Wallenroda.

* * *

Najniebezpieczniejszy rodzaj durniów: durnie majestatyczni.

* * *

Kurtuazyjni: hiobowe wieści dla swoich oponentów przesyłają na ozdobnym blankiecie telegramu.

* * *

Suwerenność kończy się tam, gdzie zaczyna się gadanie o niej.

* * *

Najtrudniej dotrzeć do ludzkich łez, najłatwiej spowodować ich wyłanie.

Zbigniew Waydyk

Sezon teatralny, rok akademicki...

W drugim sezonie swjej scenicznej działalności Teatr Szkolny Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej w Białymstoku skutecznie utrzymał pozycję zdobytą udanymi inscenizacjami roku ubiegłego.

Ogólnie uważa się, że udało się tej scenie dorzucić kolejne płatki do wieńca teatralnej sławy. Teatr okrzepł organizacyjnie, zwiększył ilość spektakli, wzrosła grupa stałych widzów, konsoliduje się coraz mocniej grupa fanów, przybywa widzów dorosłych, wyodrębniło się lobby młodych koneserów, intelektualistów, teatromanów. Odwiedziło też Teatr ponad tysiąc przedszkolaków, którzy w **Auli Bajek** oglądali przygotowane dla nich czarowne baśniowe spektakle.

A zrealizowano imponującą ilość **tytułów premierowych: trzynaście** (na psa urok!)... Każda zaś z tych propozycji, na swój sposób, zapisała się w pamięci widzów. Warto je przypomnieć w tym miejscu także dlatego, aby nie być posądzonym o przesadę, czy arytmetyczną spekulację. Więcej...

Po premierze Kajzera, *Żywa klasa* Szlachowskiego, *Próby* (z) Szekspira - B. Janik, *Uciechy staropolskie* T. Jaworskie-

go, *Skacząca królowa* i *Mała Syrenka* B. Muszyńskiej, K. Pilata, *Grafika uczuć* i *Światło świec* oprac. II roku, *Caprichos* wg Goyi - Gluszczyka, *Parady* Potockiego - W. Czolpińskiego, *Poeta zamordowany* wg Apollinaire'a w oprac. Z. Głowackiego, *Król* Bul K. Lengren oraz *Królowna i echo* Pospizilowej.

Zgadza się: równo trzynaście...

Teatr Szkolny gościł też u siebie renomowane zespoły, z których grona warto wymienić **Teatr Snów z Gdańska** (*Sanatorium*), **Towarzystwo Wierszalin** (*Kubuś Puchatek*), **Sławka Sobczaka** *W pomiędzyczasach*, **Lalki Świata Antona Anderlego** ze Słowacji. Tu odbywała się inauguracja działalności **Teatru 3/4 z Zusna** (K.i.M. Rau *Smok Bouawentura* i nieco później - *O wawelskiej królownie*).

Większość spektakli Teatru Szkolnego PWST otrzymała pozytywne recenzje, a krytycy podkreślali odkrywczy charakter inscenizacji, aktorskie wykonanie oraz aranżację widowiska w przestrzeni teatralnego obiektu Szkoły.

Warto podkreślić pomoc PT Sponsorów, którzy w miarę swych możliwości pomagali Teatrowi, a ich staraniem udało się wydać teatralne programy na poziomie profesjonalnym: **Bauhaus**, **Pete-Foto**, **Schola**, **Sienko-Foto**.

Obok twórczości scenicznej Teatr Szkolny skutecznie testował niektóre obszary parateatralne. Patronował niejako wystawom plastycznym, zrealizowanym we własnym zakresie:

Teatr 1001 nocy, malarstwo studentki reżyserii **Moniki Wojniak**,

Gwiazdozbiór Sienkiewicza 14, fotografie teatralne studenta (już aktora) **Tomasza Bielawca**,

Maski teatralnego mimu aranż. doc. **B. Gluszczyk**.

Powyższa działalność, inspirowana głównie przez studentów, wskazała na możliwości, które zaowocowały otwarciem stałej (miejmy nadzieję...) ekspozycji sztuki pod nazwą **Galeria Wewnątrz**; jej istnienie zainaugurowała wystawa plastyki i tekstów **Adama Walnego** *Sacrum i profanum*.

* * *

Opustoszały sale szkolne i aule, zamilkły lalki, obwisły parawany... Studenci-aktorzy wyruszyli na spotkanie z wakacyjną przygodą. U nich teatralny sezon to także akademicki rok. Kiedy już zakończą studia - ich życie dzielić się będzie już tylko na sezony.

Oby były to sezony... teatralne.

Kacper Sądecki

Styl ofensywny

Nie gwoli "sprawozdania", ile dla odświeżenia wspomnień i wrażeń teatralnych, dla ułatwienia spojrzenia wstecz, z perspektywy niemal roku, warto pewnie wyartykułować i uszeregować zjawiska, jakie pojawiały się na scenach Dużej i Małej, w dyrektorskim gabinecie i w najbliższej okolicy **Teatru Dramatycznego im. Aleksandra Węgierki w Białymstoku**.

Także nie dla wystawiania ocen, czy recenzowania (czyniono to w publikacjach prasowych przez cały sezon), a raczej dla próby całościowego spojrzenia, takiego, jakim darzy się rzeczy przeszłe, z zamiarem dokonania zapisu wyważonego, chłodnego, zmierzającego do obiektywizmu.

Dramatyczny to jeden z nielicznych teatrów w Polsce o tak wysokiej aktywności repertuarowej, upowszechnieniowej, impresaryjnej. Tu się nie idzie "na przeczekanie"; tu się nie gra dwa razy w tygodniu według zasady "im mniej tym taniej". Tu się wie, że czekać nie ma już na co i gra się ... trzydzieści razy w miesiącu - nieraz więcej - czyli normalnie.

Ofensywny, a nawet - można rzec - agresywny styl pracy **dyrektora Andrzeja Jakimca** przejawia się nie tylko w ilości premier i zagranicznych spektakli. Ten ciągły atak to także około dziesięciu - wszelkiego autoramentu - imprez gościnnych, to uruchomienie własnego kabaretu, ryzykanckie próby teatru muzycznego, plany zorganizowania czegoś w rodzaju festiwalu teatrów przygranicznych, wymiana teatralna z Białorusią, inscenizowanie spektakli w plene-

rze (praktyka dość zresztą kontrowersyjna), wprowadzenie tanich biletów Teatru Familijnego oraz dla bezrobotnych, wreszcie ciągle i zaskakujące wznowienia, pozwalające obejrzeć spektakle - nawet sprzed lat - na które się kiedyś "nie zdążyło".

Zwykle wyliczając dokonania sezonu wymieniana się każdy spektakl osobno, podając tytuł, nazwisko autora, reżysera, scenografa itp. Ten "jednostkowy" sposób nie pozwala jednak ocenić sezonu w całości; w całości, jako bloku zjawisk...

Proponuję więc "wyliczankę" nietypową i raczej rzadko stosowaną; pozwalającą jednak ujrzeć teatralny rok w określonych całościach problemowych, wygodniejszych dla poszukiwań odpowiedzi na pytanie "jaki to był sezon?".

Popatrzmy wpiery na "plejadę" autorów: **MROŻEK, FREDRO, ROCHOWIAK, ZAPOLSKA, AYCKBOURN, GOGOL, IONESCO, RUSSEL**.

Zestaw interesujący, ale czy reprezentatywny?

A, "wyobraźniowo", pejzaż tytułów?

EMIGRANCI, CIOTUNIA, JACEK I PLACEK, SKIZ, JAK SIĘ KOCHAJĄ W NIŻSZYCH SFERACH, REWIZOR, LEKCJA, EDUKACJA RITY.

Bogactwo i różnorodność, ale jakby w jednym kierunku...

A zmagali się z powyższym materiałem:

JAKIMIEC, GROCHOCZYŃSKI, WOLANSKI, KOZŁOWSKI, RAJEWSKI, HAMERSZMIT.

Nie był to, niestety, pierwszy rzut reżyserkiej generacji... Chociaż... robili, co mogli.

Ostatnią premierą sezonu - jako się rzekło - jest *Edukacja Rity*. Nie jest to jednak zakończenie sezonu. Niezmordowany pan dyrektor wymyślił oto - ni mniej ni więcej - jeszcze jedną teatralną antrepryzę.

Kiedy większość teatrów będzie wypoczywać, lub ospale "dogrywać" sezon ogórkowy, artyści białostoccy - w dniach - od 4 do 27 lipca - realizować będą *Augustowskie Lato Teatralne* imprezę, której są inicjatorami. Lipcowi wczasowicze, którzy zawadzą o Augustów, będą mogli obejrzeć *Mroźka Na pełnym morzu* oraz *Emigrantów*, *Terminatora* Hendkego i *Zapiski oficera Armii Czerwonej* Piaseckiego. I to trzy spektakle naraz, w jednym dniu! Każdy zdoła odrobić w ten sposób całoroczne zaległości teatralne! W tym urlopowym miesiącu (bo dla aktorów to już będzie urlop) teatr zagra około 60 spektakli! W przedsięwzięciu pomagają "Dramatycznemu" gospodarze: Urząd Miejski, Miejski Dom Kultury i Szkoła Muzyczna w Augustowie.

Dyrektor **Andrzej Jakimiec** jest już sezonem zmęczony: określa go jako trudny, a w rezultacie jako "nie najslabszy, nie najlepszy". Cieszy się, że wyjazdy Teatru do Mińska i Wilna były artystycznym sukcesem. *Rewizora* Gogola uważa za najbardziej wartościową inscenizację tego sezonu. Zadowolony jest, że udało mu się stworzyć w Teatrze kabaret.

Trwają prace nad nowym przedstawieniem, premiera już we wrześniu i w ten oto sposób jeden sezon wtapia się w sezon następny.

Więc - do września!...

Andrzej Ponowa

W eskorcie Napoleona. Niezwykłych losów Dominika ciąg dalszy.

Okres biedy uczulił Dominika Radziwilla na potrzeby innych ludzi, stąd jedną z pierwszych darowizn jaką uczynił było przekazanie wileńskiego palacu Radziwiłłów tamtejszemu Towarzystwu Dobroczynności.

W tym samym roku jego dawny nauczyciel Franciszek Karpiński listownie upominał się o roczną pensję, nie wypłaconą mu przez matkę księcia za rok pracy w Zabłudowie. Dominik - mając świadomość niezupełnie uzasadnionych roszczeń poety (Karpiński sam zerwał umowę uciekając z Zabłudowa), ponadto należność w świetle ówczesnego prawa uległa przedawnieniu - natychmiast wysłał całą żadaną sumę dołączając do niej procenty za dziesięć lat.

Pod presją rodziny zawarł Dominik małżeństwo z Elżbietą Mniszkówną, córką Michała Jerzego Mniszka. Ślub odbył się w Wiśniowcu z wielką paradą. Uczestniczyli w nim przedstawiciele pierwszych rodów Rzeczypospolitej. Nie zabrakło też Czartoryskich, którym pan młody świadczył wszelkie honory. Dzięki temu mariażowi radziwillowskie dobra powiększyły się o posiadłości na Ukrainie, zaś i tak wielka fortuna Dominika stała się największą w Rzeczypospolitej. Ziemie należące do młodego Radziwiłła objęły obszar większy niż niejedno europejskie księstwo.

Małżeństwo nie ograniczyło działalności publicznej księcia. Aktywnie działał w założonej przez siebie loży masonskiej w Nieświeżu. Przypomnijmy, iż są to czasy porobiorcze, a masoni po cichu wspierają dążenia niepodległościowe. Doprowadzi to po latach do wydania carskiego dekretu zakazującego działalności masonerii na dawnych ziemiach polskich.

Elżbieta okazuje się przy bliższym poznaniu kobietą władczą i kapryśną. Dominik odczuwa niechęć do swej małżonki. Dumna, przywyczajona do zbytków Elżbieta nie może się zdobyć na serdeczne gesty względem Dominika, który po sierocym dzieciństwie i równie samotnej, trudnej młodości jest ich wyraźnie spragniony. Duma i nieufność nie pozwalają mu na ciepłe gesty względem żony. Elżbieta nie zaznała nigdy trudu życia, poniżenia i biedy. Jej pogarda dla ludzi drażni młodego księcia.

Życzliwość i zrozumienie znajduje zupełnie niespodziewanie u szlachejki Teofili Starzeńskiej, równie rozczarowa-

nej małżeństwem. Zrozumienie to szybko zmienia się we wzajemne głębokie uczucie. Teofila nie jest piękną. Ma jednak dużo kobiecego ciepła, wdzięku i mocny charakter. Dominik wysłał żonę do Puław na dwór Czartoryskich, sam zaś zabiera Teofilę i z nią wyjeżdża do Wiednia. Tu podejmuje energiczne starania o rozwód swój i Teofili. Przede wszystkim trudności pokonują pieniądze. Sakiewka Dominika otworem stoi dla prawników, świadków, drobnych urzędników. Starzeńska uzyskuje rozwód już 5 IX 1808 roku, Dominik kilka tygodni później. W jego wyniku wracają do Mniszechów dobra posagowe Elżbiety, a sakiewka robi się lżejsza aż o dwa miliony złotych polskich. Jest to pokaźna fortuna.

Radziwiłł może wrócić do Nieświeża. Tu, w obecności niewielkiego grona osób związanych z domem radziwillowskim bierze w miejscowym kościele ślub z ukochaną. Jest marzec 1809 roku.

Dominik po raz pierwszy w życiu czuje się kochany i potrzebny.

Ten sielski okres przerywa wiadomość o utworzeniu Księstwa Warszawskiego i przygotowywanej wyprawie Napoleona na Moskwę, przynosi nadzieję na powrót wszystkich ziem polskich do Macierzy. Dominik z aprobatą Teofili porzuca domowe pielesze i z wypełnioną dukatami szkatułą rusza do Warszawy. W grudniu 1810 roku zgłasza się do armii Księstwa Warszawskiego przekazując równocześnie znaczną sumę na dozbrojenie legionów. W kwietniu 1811 roku zostaje mianowany pułkownikiem i zostaje dowódcą 8 pułku ułanów. Za zaszczyt ten płaci niebagatelną sumę 180 tysięcy złp. na rzecz armii i 36 tysięcy złp. na pomnożenie edukacji wojskowej Polaków.

W tym samym miesiącu książę Józef Poniatowski przedstawił go w Paryżu Napoleonowi, który wywarł na Dominiku ogromne wrażenie. Gdy wyprawa na Moskwę wyruszyła, Radziwiłł znalazł się ze swoim pułkiem w awangardzie wojsk Napoleona. 28 czerwca po zwycięskiej bitwie pierwszy wkroczył do Wilna, 27 lipca odznaczył się męstwem pod Ostrownem i nazwisko jego po raz pierwszy zostało wymienione w Biuletynie Wielkiej Armii jako *oficera niezwykle nieustraszonego*.

W Nieświeżu Teofila cieszy się wyróżnieniem męża, martwi o jego życie i... czeka na odwiedzin. Tymczasem Dominik podąża pod Smoleńsk. I znów pojawiła się wzmianka w Biuletynie o bohaterstwie Dominika. Pod Woronowem odnosi Dominik lekką ranę. Nie przeszkadza mu ona w tym, by w kilka dni później znów odznaczył się w walce.

Za wzmiankami w Biuletynie idą pier-

wsze odznaczenia, w tym i to najważniejsze - krzyż *Virtuti Militari*. Ceni go marszałek Murat i Cesarz. To na jego wniosek w czasie odwrotu spod Moskwy Dominik zostaje przeniesiony do strzegącego cesarza pułku szwoleżerów gwardii. Razem ze szwoleżerami po morderczych walkach dociera w grudniu 1812 roku do Wilna. Nieśwież znajduje się blisko. Dominik ma świadomość, iż Teofila martwi się i czeka. Ma jednak tylko tyle czasu by posłać gońca z wiadomością, że żyje, tęskni i przedziera się do Warszawy. Droga prowadzi nie do domu, do żony, ale na Zachód. Znow Dominik odznacza się męstwem w bitwach pod Dreznem, Lutzen i Lipskiem.

W końcu października 1813 roku legioniści polscy zastanawiają się czy nadal iść na Zachód, czy odstąpić cesarza i wracać do kraju. Dominik optuje za dalszą walką, za wytrwaniem przy Napoleonie. Jego mowa odwołująca się do honoru Polaków przeważa szalę. Legiony polskie z Napoleonem przechodzą na drugą stronę Renu.

W trzy dni później w szarży na bawarskie armaty zostaje śmiertelnie ranny. Umiera 11 XI 1813 roku już na drugim brzegu Renu.

W uznaniu jego męstwa gen. Wincenty Krasieński (ojciec poety Zygmunta) zakłada w kościele Lautreckim specjalną fundację. On też sprowadził ciało Dominika do warszawskiego kościoła kapucynów, a serec pułkownika umieścił w kościele w Krasnem. Powstaje pytanie czemu nie w Nieświeżu? Dominik żył zaledwie 27 lat. Zaznał w swym życiu biedy i szczęścia. Z zahukanego, zaniedbanego wyrostka przemienił się w żołnierza o niebywałej odwadze. O jego męstwie i rycerskich czynach krążyły legendy wśród Wielkiej Armii, w której służyło wielu nieustraszonych żołnierzy. W pałacu Krasieńskich, będącym częstym miejscem spotkań byłych napoleończyków, długo wspomniano brawurowe akcje Radziwiłła i jego ułanów.

Dziś jest to postać zupełnie zapomniana. Umknęła uwadze nawet tak wielkich pasjonatów wojen napoleońskich jak Brandys czy Łojek.

Nie pamiętają o Dominiku mieszkańcy Nieświeża ani Zabłudowa, gdzie spędził dzieciństwo. A przecież jego patriotyzm, talent dowódcy i osobiste męstwo są godne regionalnej i narodowej pamięci.

Może więc warto jakąś ulicę czy szkołę w Zabłudowie nazwać jego imieniem? Może przypomnienie tej postaci umocniłoby naszą wiarę w możliwości tkwiące w każdym z nas. Uświadomiło, że bieda i cierpienie może uczyć poświęcenia dla spraw ważniejszych niż osobiste.

Barbara Noworolska

Szlakiem Zygmunta Glogera

Zygmunt Gloger (1845-1910) był wybitną postacią związaną z naszym regionem. Autor słynnej *Encyklopedii Staropolskiej* oraz ponad 600 prac z dziedziny archeologii, etnografii, historii, przyrody. Pierwszy prezes Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego a obecnie patron Oddziału Miejskiego Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego w Białymstoku. Imię Glogera nosi również szlak turystyczny, wyznakowany w kolorze zielonym, do wędrowki po którym serdecznie zapraszam.

Szlak rozpoczyna się z przystanku PKS w Nowosiólkach, dokąd można dojechać w ciągu kilku minut z Białegostoku. Znajduje się tutaj zabytkowy dwór z XIX w. oraz murowana wieża ciśnieniowa z XIX w., obecnie na terenie Spółdzielni Pracy Gluchoniemych. Z Nowosiółek udajemy się na południe do pobliskiego lasu, gdzie położony jest jeden z lepiej zachowanych cmentarzy żydowskich na Białostocczyźnie. Roztacza się stąd widok na dolinę rzeki Horodnianki, u ujścia której do Narwi powstało na przełomie XV i XVI w. miasto Choroszcz.

Do Choroszczy wchodzimy ul. Kościuszki, a następnie ul. Białostocką, które doprowadzą nas na Rynek. Znajduje się tutaj zespół poklasztorny oo. dominikanów z poł. XVIII w., kościół p.w. św. Jana Chrzciciela i Szczepana, klasztor - obecnie nie zamieszkały, kaplica-kostnica, otoczone murem ogrodzeniem. W Rynku znajdują się ponadto zabytkowe domy z XIX-XX w. oraz pomnik poległych za Ojczyznę obywateli Choroszczy. Na osi kompozycyjnej kościoła i ul. Branickiego położony jest pałac na wodzie, wybudowany w poł. XVIII w. przez Jana Klemensa Branickiego. Pałac otoczony pięknym parkiem z kanałem krzyżowym i mostkami, pełnił rolę letniej rezydencji hetmana, obecnie muzeum. W bezpośrednim sąsiedztwie pałacu w XIX w. Alfred Moes założył dużą fabrykę włókienniczą. W 1930 r. na jej terenie powstał szpital psychiatryczny, obecnie Klinika dla Psychiatrycznej w Białymstoku. Po przejściu kładki na rzece Horodniance opusz-

czamy miasto Choroszcz, mijając po drodze cmentarz ewangelicki.

Szlak im. Z. Glogera przez najbliższych kilka kilometrów prowadzi nas będzie przez tereny Narwiańskiego Parku Krajobrazowego. Utworzony on został w 1985 r. na powierzchni 22750 ha i obejmuje bagienny odcinek doliny Narwi od Suraża do Żółtek. Największą osobliwością przyrodniczą parku są ptaki, które będziemy obserwować idąc wzdłuż szlaku. Po drodze mijamy również wsie: Ruszczany, Rogówek, Rogowo, z ciekawą zabudową drewnianą oraz charakterystycznymi krzyżami przydrożnymi z przełomu XIX-XX w. Szlak w pewnym momencie zbacza na widoczne w oddali trzy wzgórza porośnięte lasem sosnowym. Przed wsią Pańki skręcamy w prawo idąc utwardzoną drogą biegnącą w poprzek doliny Narwi. Jest to niezwykle interesujący przyrodniczo odcinek szlaku prowadzący wśród bagien i szuwarów, tętniących odgłosami ptaków. Po 2 km wędrowki dojdziemy do jazu na rzece Narwi, który pięć lat temu niezbędny do życia ptaków i zwierząt bytujących na terenie Narwiańskiego Parku Krajobrazowego.

Na drugim brzegu Narwi położona jest wieś Rzędziany upamiętniona przez H. Sienkiewicza w *Potopie*. Dalej szlak prowadzi przez wzgórza Wysoczyzny Wysokomazowieckiej z licznymi głazami narzutowymi, z których największe przekraczają 6 m w obwodzie. Po drodze mijamy kolejno wsie: Sawino, Leśniki, Saniki oraz pojedyncze zagrody rozrzucone wśród pól o zupełnie innym charakterze niż na przeciwnym brzegu Narwi. Po kilku kilometrach docieramy do Tykocina położonego w głębokiej kotlinie nad Narwią, stanowiącej przedłużenie Kotliny Biebrzańskiej.

Początki Tykocina sięgają XI w., kiedy to stanowił on gród mazowiecki broniący przeprawy przez Narew. Prawa miejskie uzyskał już w 1425 r. od księcia mazowieckiego Janusza I, obecnie czynione są starania o ich przywrócenie. Zwiedzanie miasta rozpoczynamy od cmentarza rzymskokatolickiego na którym znajduje się kaplica grobowa rodziny Glogerów. Nie znajdziemy tu jednak grobu samego Zygmunta, który spoczywa na cmentarzu powązkowskim w Warszawie. Jego pamięci poświęcona jest sala w miejscowym muzeum oraz jego imię

nosi tutejsza biblioteka, ale zanim tam dotrzemy warto zwrócić uwagę na kilka zabytków. Pierwszym z nich jest odrestaurowana dawna ekonomia z pocz. XVIII w., obok której znajduje się pomnik Orła Białego - orderu ustanowionego w Tykocinie w poł. XVIII w., przywróconego obecnie przez Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej. Następnie dochodzimy do Rynku, na którym znajduje się jeden z pierwszych, wolnostojących pomników świeckich z 1762 r. przedstawiający hetmana Stefana Czarneckiego. Wschodnią pierzeję Rynku zamyka kościół p.w. św. Trójcy z połowy XVIII w., oraz alumnat z 1645 r., jeden z ostatnich tego typu obiektów w Polsce. Warto zboczyć ze szlaku i udać się przez most na drugi brzeg Narwi gdzie zachowały się ruiny zamku Zygmunta Augusta. Z Rynku szlak prowadzi do zespołu pozaklasztorowego oo. bernardynów z 1791 r., obecnie zamieszkałego przez księży emerytów. Przedtem konieczne trzeba zwiedzić Kaczorowo, dzielnicę zamieszkałą przed drugą wojną światową przez Żydów. Wybudowali tu oni jeszcze w 1641 r. wspaniałą synagogę oraz dom talmudyczny - obecnie obiekty muzealne, gdzie znajduje się również sala poświęcona pamięci Zygmunta Glogera.

Tykocin opuszczamy kierując się na południe do grodziska z XI w., odległego od współczesnej osady o 3 km. Za grodziskiem wchodzimy do lasów, którymi dotrzemy po kilku kilometrach do Jeżewa Starego. W tej właśnie miejscowości żył i tworzył Zygmunt Gloger, który resztę życia spędził w Warszawie i tam zmarł w 1910 r. W Jeżewie Starym zachowały się pozostałości zespołu dworskiego rodziny Glogerów: browar z 1880 r., już nieczynny, spichlerz z 1860 r. i rządcówka z drugiej połowy XIX w. Po zwiedzeniu tych obiektów możemy zakończyć naszą wędrowkę na przystanku PKS, skąd udamy się w drogę powrotną do Białegostoku. Całkowita długość Szlaku Glogera liczy ponad 40 km, dlatego zalecana jest do przejścia w ciągu dwóch dni z noclegiem w schroniskach turystycznych w Rogowie lub Tykocinie. Miejsko-Gminne Centrum Kultury w Choroszczy proponuje wszystkim chętnym przewodnika po trasie wycieczki śladami Zygmunta Glogera.

Sławomir Halicki

Zespół pobazyliński w Supraślu

Supraśl - niewielkie, ciche miasteczko, ostatnio nieco zaniedbane, przyciąga turystów i wczasowiczów nie tylko dlatego, że jest uroczo położone (jeszcze w miarę czysta rzeka, piękne lasy Puszczy Knyszyńsko-Białowieskiej, swoisty mikroklimat, bliskość Białegostoku, dobre połączenia autobusowe itp.), ale również i z tej przyczyny, że ma dość niezwykłą i ciekawą przeszłość oraz cenne zabytki architektoniczne, a wśród nich najcenniejszy - kompleks budynków poklasztornych, usytuowanych na dawnym uroczysku zwanym Suchym Grądem, gdzie w czasach pogańskiej Litwy oddawano ponoć cześć bożkom Perkunowi i Atreinposowi.

Tereny świętego gaju z łaski fundatora, Aleksandra Chodkiewicza, objęły w posiadanie w 1500 r. zakonnicy, którzy będą tu gospodarzami do lat czterdziestych XIX w., tj. do chwili rozwiązania zgromadzenia grekokatolickiego (unickiego) przez Rosję carską.

Bezpośrednio po przybyciu tu, mnisi wybudowali klasztor i kościół drewniany (te budowle spłonęły w XVII w.) oraz przystąpili do zagospodarowania terenu, wydobywania gliny, produkowania cegieł i budowy drugiej świątyni, ale już z cegły i bardziej okazałej. Ten obronny obiekt o wysokości 28 m w stylu gotycko-bizantyjskim otrzymał imię Zwiastowania NMP w 1511 r., tj. w czasie jego poświęcenia. W latach 1550-1557, dzięki fundacji archimandryty Sergiusza Kimbara, wewnątrz świątyni zostało ozdobione freskami męczenników i świętych oraz ornamentyką wiciową. Kompozycje malowane były w technice wapienno-temperowej, na częściowo podeszniętym tynku, z użyciem cienkich włókien konopi, które dodawano do zaprawy wapiennej celem uzyskania lepszej przyczepności farb.

Według kroniki Ławry Suprańskiej, autorem fresków miał być mnich pochodzenia serbskiego - mistrz Nektaryj.

Innym znaczącym obiektem w tej świątyni był ikonostas wykonany w XVII w. przez złotnika Andrzeja Modzelewskiego z Gdańska.

Pierwsza wojna światowa i lata następne, aż do 1935 r., kiedy to obiekt obejmują salezianie, stanowią przerwę w funkcjonowaniu cerkwi (od 1836 r. do początków pierwszej wojny światowej w posiadaniu mnichów prawosławnych). Podobny los

spotyka ją po 17 września 1939 r., kiedy to w jej wnętrzu wojska radzieckie urządziły warsztat mechaniczny. Ostatecznie obiekt zniszczyły wycofujące się wojska niemieckie w lipcu 1944 r.

Z ruin uratowano tylko 33 malowidła z dolnych partii ścian oraz filarów z podłuczami. Dziś można je oglądać w supraskim Punkcie Muzealnym, który funkcjonuje od 1973 r.

Wspomniany Punkt Muzealny zajmuje dwa pomieszczenia w dawnym pałacu archimandrytów. Pałac biskupów unickich, bo i tak go niektórzy nazywają, stanowi dziś główny akcent w architektonicznym kompleksie poklasztornym. Wzniesiono go prawdopodobnie jeszcze przed potopem szwedzkim. Ten reprezentacyjny obiekt z elementami renesansowymi i barokowymi zbudowano na planie prostokąta w urokliwym miejscu tuż nad rzeką Supraślą. Centralną salą tego budynku jest trykondygnacyjna kaplica (dziś prezentuje się w niej makietę świątyni pod wezwaniem Zwiastowania NMP i uratowane freski).

W przyległym do kaplicy dawnym reflektarzu, o sklepieniu kolebkowo-lunetowym z plafonem, a na nim malowidłem figuralnym z początków drugiej połowy XVIII w., prawdopodobnie Antoniego Gruszeckiego, bazylianina, prezentuje się obecnie osiemnastowieczne skarbcze żelazne, obrazy i rzeźby o tematyce sakralnej oraz meble z różnych okresów.

Resztę pomieszczeń pałacowych, jak i inne budynki poklasztorne na razie wykorzystuje Zespół Szkół Mechanizacji Rolnictwa. Piszę "na razie", bo już o nie toczą się boje różnych chętnych: biskupstwa prawosławnego białostocko-gdańskiego, arcybiskupstwa katolickiego, grekokatolików i nie bez znaczenia są ostatnio dość częste odwiedziny Supraśla przez Jana Zacherta (mieszka w Szwajcarii), spadkobiercy pałacu z przyległościami. Warto dla jasności dodać, że Zachertowie w latach czterdziestych dziewiętnastego wieku kupili od rządu carskiego wspomniane budynki i bytowali tu zupełnie nieźle do drugiej wojny światowej.

Najmłodszym budynkiem pobazylińskim w tym kompleksie jest prostokątna brama-dzwonnica z 1752 r. z elementami dekoracji klasycystycznej. Budowniczy jej jak i innych obiektów nie jest znany, ale przypuszcza się, że byli to muratorowie wileńscy, dobrze znający się na swoim fachu.

Janusz E. Kosmaczewski

O tym i owym...

Na przykład o śmietanie.

Butelka śmietany na widok krowy:

- Trochę trudno przyznać się do takiej matki.

Albo o psach.

Mops badawczo przygląda się jamniczce.

- No, niezły spektakl. Tylko że ma, niestety, dłuższy.

Lub o kurach.

Kura, gdy spadają ceny jajek:

- I to się nazywa troska o rodzinną.

Można też o mydle.

Kawałek mydła do drugiego kawałka:

- Schudł pan ostatnio. Jak pan to robi?

- Po prostu biorę codziennie kąpiel.

A o ogórkach?

Maly korniszon do ojca:

- Tata, co to jest ogórek?

- Iii... Taki sam korniszon, jak my. Tylko zbyt silny, by mu to można było powiedzieć.

Teraz o rekinach.

Dwa rekiny obserwują nurka w skafandrze.

- No, tak... - zagaduje jeden z nich. Co pan na to?

- Dziękuję. Raczej nie. Nie jadłbym konserw.

Wreszcie o maśle.

Kostka masła patrząc na butelkę śmietany:

- Pomyśleć, że taka zgrabna byłam za młodu.

Na zakończenie - też o maśle.

Kostka masła do kostki masła:

- Pobierzmy się: wiesz, jakie piękne będą nasze dzieci?

- Nic z tego. Ja jestem roślinne.

pozbiarał - ab

A w post scriptum - o makaronach.

Makaron do makaronu:

- Żenię się! Wiesz?

- Tak? Z kim?

- Z dwiema klusieczkami!

- Nie przesadzasz?

- Skąd? Przecież ja jestem czterojajeczny!

ab

Struś do Berezy

Kabaret *Pod Różowym Strusiem* rozpoczynający **XVI Salon Niezależnych**, który tym razem gościł w Polskim Radiu Białystok, był przyczyną niewielkiego (?) skandalu. Niektórzy z widzów poczuli się obrażeni czy brzydkim słowem rzucanym ze sceny (znanym przerywnikiem mowy przeciętnego Polaka), czy modlitewnymi gestami, czy też piosenką *Komuno wróć*. Wyraz swemu oburzeniu dali krzycząc: *do Berezy! Komuna czy Struś!*

Jednym słowem wesoło się zaczął kabaret w *Salonie*, który w większym ciągu nie przestał być kabaretem z



główną rolę etatowego kpiarza **Janusza Korwin-Mikkego**, byłego posła Unii Polityki Realnej, z drugoplanową rolą **Włodzimierza Cimoszewicza** (Sojusz Lewicy Demokratycznej).

Tym razem prowadzący imprezę **Andrzej Koziaara** nie mógł zabłysnąć ciętym komentarzem. Mówił, odpowiadał sam sobie i łoży dziennikarzy (**Dariusz Szymczycha** - red. nac. *Trybuny* i **Ryszard Kijak** z *Dziennika Chica-gowskiego*) oraz przeciwnikowi salo-nowemu - wyłącznie szef UPR.

Nie u wszystkich ten styl uprawiania polityki czy też politycznej dysputy znalazł uznanie. Zdenerwowana uczestniczka spotkania spytała **Janusza Korwin-Mikkego** czy rzeczywiście uważa, że wszyscy - z wyjątkiem jego zwolenników - to głupcy, bandyci i złodzieje. Dlaczego nazwał lekarzy i nauczycieli

"zdesperowanym motłochem"? **Janusz Korwin-Mikke** odpowiedział: *Nie lekarzy i nie nauczycieli, tylko strajkujących nauczycieli. Tłum zmienia się w dziką bestię. Strajkujący nauczyciele sądzą, że zwiększone dotacje na sferę budżetową pomogą na wszelkie bolączki; to nieprawda, pieniądze przeznaczone na oświatę poszłyby na wyasfaltowanie wszystkich boisk, aby dzieci lamaly sobie szczęki.*

Zapytany o lustrację - bo to jego partia złożyła wniosek w sejmie - odpowiedział, że UPR wykorzystała moment, kiedy przeciwnicy lustracji byli na lunchu z ekselecją **Hercogiem**. Według **Korwina** nowa ustawa o wyborach jest niedobra, ponieważ banda nacjonalistów (UD i KLD) dała fory mniejszości niemieckiej i białoruskiej. Szef UPR wygłosił także przemówienie przeciw-



fol. Pete-Foto

ko prawom wyborczym kobiet, związkom zawodowym, w tym **Solidarności**, rządowi, komunizmowi i socjalizmowi. Zacytował wiersz hrabiego **Fredry**: *Socjalizm każdemu równo nosa utrze, najpierw weźmie bogatym, a biednym pojutrze.*

Drugi z zaproszonych gości starał się dotrzymać placu szefowi UPR. Kiedy **Korwin-Mikke** obśmiewał zasadę reprezentatywności w sejmie - że według statystyki powinno być tyle a tyle procent łysych, kobiet, robotników, a nikt nie rozważa proporcji idiotów, **Włodzimierz Cimoszewicz** odrzekł: *w tym sejmie nadreprezentacja idiotów była oczywista.*

Pytany, czy słusznie znalazł się na liście **Macierewicza** (ukazała się kilka dni przed spotkaniem w *Gazecie Polskiej*) odpowiedział, że minister spraw wewnętrznych dopuścił się w kilku przypadkach świadomego kłamstwa bądź z pobudek politycznych, bądź

osobistych. Tak też się stało w jego przypadku. Nie pozostawiono mu też możliwości obrony swojego dobrego imienia. Zapytany, czy **Lech Wałęsa** sprawdził się jako prezydent odrzekł: *Lech Wałęsa nie ma żadnej koncepcji prezydentury; jest człowiekiem zagubionym, tracącym legendę go otaczającą; szamoce się w otoczeniu niedobrych doradców, sprawnych tylko w kategoriach intryg politycznych.* **Włodzimierz Cimoszewicz** nie zawiódł się na prezydencie, bo się po nim niczego nie spodziewał.

Pytanie: *kim się czuje - Polakiem czy Białorusinem* - **Cimoszewicz** zbył krótką ripostą: *jakie to ma znaczenie?* Publiczność, u nas szczególnie czuła na tego rodzaju kwestie, nagrodziła jego odpowiedź brawami.

Program swoich partii obaj politycy



fol. Pete-Foto

określili tak samo: jako powrót do normalności. Jednak z wypowiedzi wynikało, że owe normalności umieszczają się w innych wymiarach. Dla przewodniczącego Unii normalność to wyraźne obniżenie podatków, prywatyzacja i prywatyzacja drogą licytacji, odsunięcie rządu od mieszania się do gospodarki, ograniczenie roli parlamentu. **Włodzimierz Cimoszewicz** uważa, że normalnie będzie wtedy, gdy będzie się traktować wszystkie przedsiębiorstwa - i te prywatne i państwowe - jednakowo, gdy będzie obowiązywał solidaryzm społeczny i podniesie się podatki, aby wszyscy potrzebujący liczyć mogli na pomoc państwa.

Jak z tego wynika, program Unii Polityki Realnej i Sojuszu Lewicy Demokratycznej to dwa różne światy. Niedługo wybory, dowiemy się, który wygra...

Iwona Wąsowicz-Szczepaniak

Nie ma szans na Opole

Malwy w Białymstoku to zjawisko trochę jakby podejrzane. Nie żeby uprawa tych roślin była na naszych terenach niemożliwa - kwitną tutaj tak samo urokliwie, jak gdzie indziej. Wiem, bo miałam je kiedyś w ogródku. Podejrzanie jest z malwami piosenkarskimi. Jeśli ktoś chciałby tu zakrzyknąć, że to bzdura i takich malw nie ma, natychmiast zaprzeczę. Białystok miał i chyba jeszcze ma okazję wyhodować tę właśnie, nową odmianę malw. Na czym to polega i o co tu chodzi?

Wyjaśnienie tego złożonego problemu tym, którzy nie za bardzo śledzą kulturalne życie miasta, jest nader skomplikowane. *Białostockie Malwy* pojawiają się bowiem w dość dużych odstępach czasu, a w dodatku raz jako festiwal piosenki młodych talentów, raz jako koncert, to znów warsztaty piosenkarskie, organizowane w Białowieży.

Pierwszy festiwal odbył się jesienią 91 roku, a więc już dwa lata temu. Przypomnijmy, że zorganizowanie tego festiwalu zlecił dyrektorowi Wojewódzkiego Ośrodka Animacji Kultury - Kazimierzowi Derkowskiemu ówczesny wiceminister kultury i sztuki - Michał Jagiello. Nie było to, niestety, zlecenie z gatunku tych najszybszych, bowiem na pierwszym *Malwach* miała być obecna piosenka nie tylko polska, ale również białoruska, litewska i rosyjska. Niby co można mieć do piosenki białoruskiej, litewskiej i rosyjskiej? No cóż, może gdzie indziej, w jakimś bardziej oddalonym na zachód kraju - nie, ale u nas, w Polsce okazuje się, że można. A już w Białymstoku zwłaszcza, gdzie ludność wydaje się być szczególnie czepliwa. Pospały się więc od razu jak lawina protesty i pomówienia; zanadto bowiem ówczesne *Malwy* pachniały wszystkim Zieloną Górą. Miasto - zdawałoby się - jak każde inne, ale co się w nim onegdaj działo... Do dzisiaj nie dadzą nam o tym zapomnieć (patrz: *Big Zbig Show*).

Może dlatego organizatorzy *Malw* oraz instytucje wspierające festiwal (Ministerstwo Kultury i Sztuki, ZAKR) czekali aż dwa lata, żeby wystartować z II festiwalem? Co prawda w ciągu tych dwu lat niby nie zasypiali gruszek w popiele, bo w sierpniu ubiegłego roku WOAK zorganizował warsztaty piosenkarskie w Białowieży, podczas których Stanisław Fiałkowski - szef artystyczny festiwalu, a na co dzień dyrektor *Big Varsav Band'u* - pocił się w czterdziestostopniowym upale i wyściskał co się dało z młodego narybku. Potem, 22 listopada, odbył się w hali *Włókniarza* koncert ph. *Białostockie Malwy*. Uczestnicy warsztatów zaprezentowali białostockiej publiczności to, co najlepszego Fiałkowskiemu udało się z nich wycisnąć. Koncert ten, jak nietrudno wyliczyć,

dzielił od pierwszego festiwalu równo rok. W rozmowie, jaką odbyłam wówczas z dyrektorem Derkowskim, usłyszałam, że na grudzień planowane jest spotkanie wszystkich decydentów i zainteresowanych *Malwami*, na którym zostanie podjęta decyzja dotycząca kształtu, formuły, zamierzeń organizacyjnych i programowych II festiwalu "Białostockie Malwy".

Nie wiem, czy takie spotkanie się odbyło. W zamian spróbuję więc opowiedzieć o innym, które miało miejsce 20 czerwca '93 (uwaga! rok się zmienił) w Supraślu, przy okazji kolejnego koncertu promocyjnego pn. *Białostockie Malwy*, przygotowanego tym razem przez Jerzego Tomzika. A spotkali się Kazimierz Derkowski i specjalnie na tę okazję przybyły z Warszawy Stanisław Fiałkowski. O paniach z impresariatu artystycznego WOAK właściwie nie ma co wspominać, bo one są od czarnej i mało reprezentacyjnej roboty.

W trakcie tego spotkania ustalono, że na pewno odbędą się znów w sierpniu warsztaty w Białowieży. Że festiwal zorganizowany zostanie po warsztatach, jesienią. Że ZAKR zaprosi dwa - może trzy - zespoły polskie zza wschodniej granicy. Okazało się jednak, że nadal problem stanowią kształt i formuła festiwalu, dotychczas ciągle niesprecyzowane.

- Raz ukształtowana formuła festiwalu, w tak dynamicznej rzeczywistości, nie może być formułą raz na zawsze - mówi Kazimierz Derkowski. Czy jednak nie byłoby dobrze, gdyby - na trzy miesiące przed planowanym festiwalem - była ona już gotowa?

Tu wylania się kolejny problem. Kto powinien podejmować tego typu decyzje, jeśli do *Malw* przyznają się dwa miasta: Białystok i Warszawa, że o ilości instytucji i szefów nie wspomnę. Dyrektor WOAK-u twierdzi, że dobrze jest, jeśli nad wszystkim panuje "centrala". Stanisław Fiałkowski zaś tłumaczy cierpliwie: *Jeśli będziecie oglądać się na Warszawę, nigdy niczego nie zrobicie!*

A mnie się marzy, żeby - po kilku latach oczywiście - o Białymstoku mówiono w Polsce tak, jak się kojarzy różne festiwale z poszczególnymi miastami. Nie mam złudzeń, więc nie myślę tu o randze Sopotu, Opoła, Krakowa czy Wrocławia. Ale gdyby coś w rodzaju Mrągowa, Jarocina, Olsztyna? Miasta też niewielkie, też nie nadzwyczajne, a kojarzą się ludziom w kraju..... Może by więc dało się i Białystok powiązać z... młodymi talentami. Takimi, jakie na pewno znaleźć można w każdej szkole, na każdym podwórku. Z młodymi ludźmi, którzy marzą, żeby raz w życiu zaśpiewać na festiwalu i żeby to jeszcze pokazali w telewizji! Bo co mają zrobić, jeśli na Opole nie mają szans? Czy zacząć przyjeżdżać jesienią do Białegostoku...

Anna Kowalska

Czy jesteś lubiany (lubiana)?

Kto by nie chciał! Być wszędzie zapraszonym, mieć wielu przyjaciół, być duszą towarzystwa. Jednak nie ulegamy złudzeniom. Czasami bardzo skromni ludzie są punktem zainteresowania towarzystwa. Recepta? Niewiele potrzeba - trochę cierpliwości, miłości bliźniego, szczypty humoru i czegoś jeszcze...

Zadanie 1

Zaplanowałeś (zaplanowałaś) dzień odpoczynku. Niespodziewanie do drzwi dzwoni kilkusobowe towarzystwo. Co robisz?

- A. Nie otwierasz, ponieważ 'nie lubisz być zaskakiwany (zaskakiwana).
- B. Mówisz: "Co za niespodzianka" i w złym humorze wpuszczasz ich do mieszkania.
- C. Cieszysz się z wizyty, odpocząć możesz później.
- D. Mówisz: "Wchodźcie i czujcie się jak u siebie w domu", wkrótce znikasz.

Zadanie 2

Szef w tajemnicy dzieli się z Tobą informacją, że jeśli interes nie będzie szedł lepiej, będzie zmuszony zwolnić kilka osób. Jak reagujesz?

- A. Potajemnie informujesz kolegów, ostrzegając przed zwolnieniem.
- B. Zabiegasz o względy szefa, aby nie został zwolnionym (zwolnioną).
- C. Z całych sił usiłujesz odwieść szefa od podjętej decyzji.
- D. Potajemnie rozglądasz się za inną pracą.

Zadanie 3

Po przyjęciu, które urządziłeś (urządziłaś) w domu dla swoich przyjaciół, ginie Ci pierścionek. Co o tym myślisz?

- A. Sądzisz, że musiał Ci go ktoś ukraść.
- B. Przypuszczasz, że go gdzieś położyłeś (położyłaś) i wkrótce znajdziesz.
- C. Nikogo nie posądzasz, przypisując stratę swojej nieuwadze.
- D. Złości Cię strata, masz dość przyjęć i przyjaciół.

Zadanie 4

Zaprzyjaźniona rodzina przeprowadza się. Dają do zrozumienia, że przydałaby się im pomoc. Co czynisz?

- A. Nie mieszasz się w sprawy prywatne.
- B. Oferujesz pomoc, mając nadzieję, że z niej nie skorzystają.
- C. Kupujesz w prezencie kwiaty do nowego mieszkania.
- D. Zjawiasz się niespodziewanie i pomagasz przy przeprowadzce.

Zadanie 5

Otrzymujesz zaproszenie na bal. Nie masz jednak partnerki (partnera), która

mogłaby (który mógłby) Ci towarzyszyć. Co postanawiasz?

- A. Idziesz sam (sama) na bal. Takiej okazji nie można przepuścić.
- B. Odrzucasz zaproszenie, ponieważ nie chcesz iść sam (sama).
- C. Dołączasz się do przyjaciół, którzy Cię chętnie zabrają.
- D. Złatwiasz następne zaproszenia i idziesz na bal z przyjaciółmi.

Zadanie 6

Przez pięć godzin jedziesz pociągiem w pełnym przedziale. Jak się zachowujesz?

- A. Z nikim nie rozmawiasz, tylko czytasz i obserwujesz ludzi.
- B. Jesteś miły (miła), unikasz jednak rozmowy.
- C. Żartem i serdecznością wciągasz wszystkich w rozmowę.
- D. Wciskasz się w kąt i śpisz przez całą drogę.

Zadanie 7

Podczas przyjęcia ktoś wylewa Ci na ubranie czerwone wino.

- A. Wieczór jest dla Ciebie stracony. Wychodzisz wcześniej niż zaplanowałaś (zaplanowałeś).
- B. Śmiejesz się mówiąc, że nie cierpisz tego garnituru (tej sukienki).
- C. Okazujesz zdenerwowanie, pytając, kto za to zapłaci.
- D. Dyskretnie wychodzisz, usiłując usunąć plamę.

Zadanie 8

Sąsiedzi pytają Cię, czy mógłbyś (mogłabyś) zająć się przez dwie godziny ich małym dzieckiem.

- A. Odmawiasz. Nie umiesz opiekować się dziećmi i nie chcesz brać na siebie takiej odpowiedzialności.
- B. Obiecujesz zająć się dzieckiem, ale tylko przez godzinę, ponieważ nie chcesz tracić całego wieczoru.
- C. Chętnie się podejmujesz, nawet jeśli miałoby to trwać więcej niż dwie godziny.
- D. Nie możesz odmówić, ponieważ sąsiedzi są Ci potrzebni.

Zadanie 9

Umówiłeś (umówiłaś) się ze znajomymi do kina.

- A. Cieszysz się na wspólne wyjście do kina, ale jak zwykle się spóźniasz.
- B. Przychodzisz punktualnie i czekasz na znajomych pod kinem.
- C. Przychodzisz punktualnie, ale nie masz ochoty na nikogo czekać.
- D. Wpadasz w zły humor, ponieważ jest to film, którego nie masz ochoty oglądać.

Zadanie 10

Na basenie spostrzegasz chłopców, którzy rzucają kamyczkami w dziewczynkę. Jak na to reagujesz?

- A. Prosisz ratownika, aby upomniął

chłopców.

- B. Nie przejmujesz się zmartwieniami innych.
- C. Cieszysz się, kiedy chłopcom uda się trafić.
- D. Podchodzisz do chłopców mówiąc, że ta zabawa nie jest całkiem bezpieczna.

Tabela punktów

Zadanie	A	B	C	D
1	0	1	4	2
2	3	0	4	1
3	0	4	2	1
4	0	2	3	4
5	1	0	3	4
6	1	3	4	0
7	1	4	0	0
8	0	1	4	3
9	2	4	1	0
10	3	0	1	4

punkty
suma punktów:.....

Czy jesteś lubiany?

Do 8 punktów

Jesteś bardzo ostrożny (ostrożna) w postępowaniu. Z dobrej woli nie mieszasz się nigdy w sprawy innych ludzi, nie cierpisz komplikacji. Taka postawa życiowa oplaca się tylko do pewnego momentu. Wszystko, co nie dotyczy Ciebie jest zbyt dużym wysiłkiem. Nie przywiązujesz żadnej wagi do tego, aby być ogólnie lubianym (lubianą). O wiele bezpieczniej czujesz się w małym gronie sprawdzonych przyjaciół. Chętnie pozostajesz z ludźmi w chłodnych stosunkach z obawy przed zranieniem. Jesteś do tego stopnia zajęty (zajęta) sobą, że nie dostrzegasz tego, co się dzieje dookoła. Powinieneś (powinnaś) brać większy udział w życiu innych, zostanie Ci to odwzajemnione wieloma przyjaciółmi.

9 do 18 punktów

Otoczający Cię ludzie niewiele dla Ciebie znaczą, ale nie potrafisz obejść się dłużej bez ich towarzystwa. To, czy jesteś, czy też nie jesteś lubiany (lubiana), nie ma dla Ciebie większego znaczenia. Najważniejsze dla Ciebie jest wynoszenie z życia jak najwięcej korzyści. Nigdy nie oczekujesz wdzięczności. Nie widzisz powodu, aby wczuwać się w sytuację innych ludzi. Nie oczekujesz również od innych żadnej pomocy. Z takim podejściem do życia możesz daleko zajść w pracy zawodowej. Musisz jednak postarać się rozumieć problemy innych. Małe przyjacielskie przysługi są nie do pogardzenia - będziesz w lepszym nastroju i pozbędziesz się wielu zmartwień.

19 do 30 punktów

Dbasz o to, aby być w dobrych stosunkach ze wszystkimi ludźmi. Jest to na dłuższą metę wcale nietrawne zadanie.

Mimo to wiele radości sprawia Ci taktywne i przyjacielskie rozładowanie sąsiedzkich sprzeczek. Starasz się być dla ludzi sympatyczny (sympatyczna) znając sekret bycia lubianym (lubianą). Trzeba zainwestować wiele miłości i zrozumienia, aby w zamian otrzymać ich malutką część. Kto cierpliwie do tego dąży, może oczekiwać, że wiele osób go lubi. Przykładasz wielkie znaczenie do tego, aby mieć wielu przyjaciół, przed którymi można się wyzalić. Starasz się być zaangażowanym partnerem. Niczego w życiu nie dostajesz za darmo.

31 do 40 punktów

Jesteś bardzo lubiany (lubiana), ponieważ masz wiele cech, które pozwalają Ci zdobywać serca ludzi. Jesteś wspaniałomyślny (wspaniałomyślna), uczynny (uczynna), wiele uwagi poświęcasz innym. Dzięki takim cechom potrafisz rozładowywać napięcia w swoim otoczeniu. W kontaktach z ludźmi jesteś serdeczny i szczerzy (serdeczna i szczerza) tak, że nawet najbardziej pasywnych ludzi potrafisz pozbawić rezerwy. Ludzie dobrze się czują w Twoim towarzystwie. Jak powietrze potrzebujesz akceptacji innych ludzi, nie cierpisz być sam (sama), żyć w izolacji. Największą radość sprawia Ci bycie duszą towarzystwa, ale jeśli tak nie jest, nie jest to dla Ciebie powodem do zmartwień. Kto zdobył Twoją przyjaźń, może uważać się za szczęśliwca, musi jednak liczyć się z konkurencją. Postaraj się odrobinę ograniczyć chęć pomagania innym w trudnych sytuacjach. Czasami możesz zostać wykorzystany (wykorzystana) lub niemile się rozczarować. Jak niewiele jednak znaczy jedno małe rozczarowanie wobec przyjacielskiej życzliwości ogółu.

Wydawca:

Wojewódzki Ośrodek Animacji Kultury 15-089 Białystok, ul. Kielińskiego 8 ☎ 328-652, 320-724.

Redaguje zespół:

Iwona Wąsowicz-Szczepaniak (red.nacz.), Kazimierz Derkowski, Anna Kowalska, Jan Szacillo.

Projekt okładki i rys. Kazimierz Falkowski

Skład komputerowy: Oficyna Wydawnicza WOAK

Druk: Soboldruk

Plamy, plotki, anegdotki

* * *

Kiedy na pytanie, kim chciałbym być, gdybym żył w XIX wieku, odpowiedziałem, że bogatym, wykształconym właścicielem ziemskim, wezwano mnie do komitetu, partyjnego. "Właścicielem ziemskim? Co to ma znaczyć". Odpowiedziałem: "Tak jak Puszkina, jak Tolstoj, jak Herzen, jak Lermontow. A kim pan chciałby być?" - zapytałem jednego z przesłuchujących. "Ja? Chłopem pańszczyźnianym" - powiedział z dumą. Czy z takimi ludźmi można rozmawiać - powiedział Bulat Okudźawa Gazecie Wyborczej. Chłopi pańszczyźniani nie mieli poczucia humoru.

* * *

Powoli, ale coraz wyraźniej, z reprezentanta domagającej się zmian większości, miotana chorymi ambicjami, reszta "Solidarności" zamienia się w źródło najpoważniejszych zagrożeń dla reform i formującej się polskiej demokracji. Cytat ten pochodzi z:
a) Trybuny (dawnej Ludu)?
b) Gazety Wyborczej?

* * *

Jest to program, który oferuję każdej partii - pisze redaktor Tadeusz Jacewicz - pragnęcej wygrać wybory. Program jest bezpłatny, ale oczywiście w gospodarce rynkowej nie tak naprawdę za darmo nie jest. Po zwycięstwie zgłoszę się więc po honorarium - zażądaję stanowiska ministra honoris causa d.s. zdrowego rozsądku. Zdrowy rozsądek po nagrodzeniu go ministerialną teką może się rozchorować.

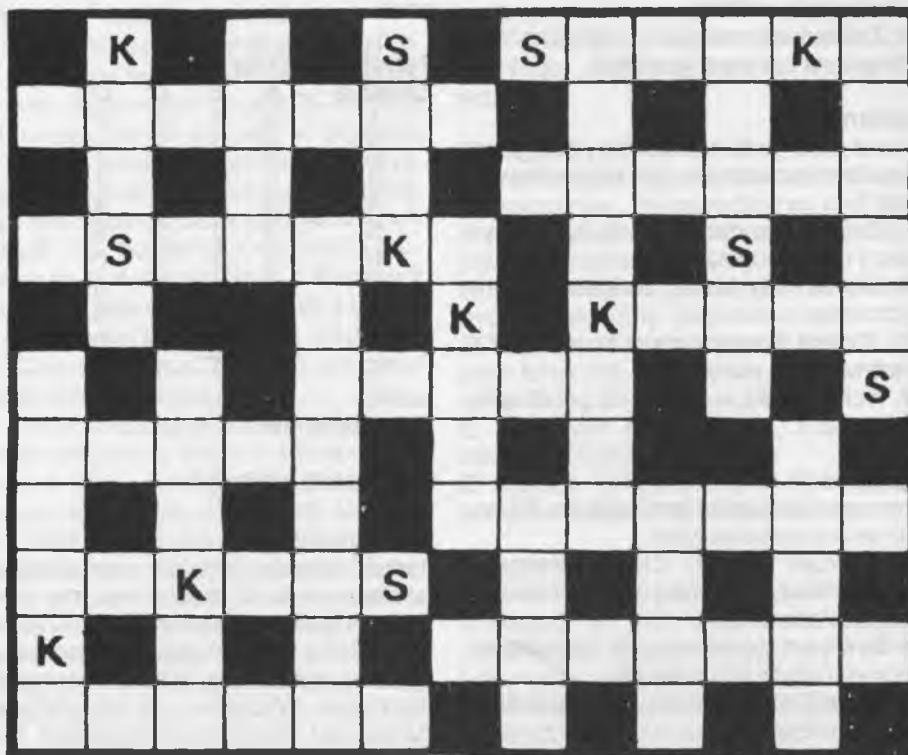
* * *

Firma Junkers, która w czasie drugiej wojny światowej produkowała dla Luftwaffe bombowce nurkujące (warto dodać, że dokonywały rzezi wśród ucikierów) reklamuje się w *Porannym* w następujący sposób: *Junkers znowu z nami! Podgrzewacze kotły c.o. Za gotówkę i na raty.* Reklama zawiera także narysowany piec i bombę. Z Junkersem zawsze gorąco.

* * *

Unia Polityki Realnej na swoich plakatach stwierdza: że zmieniły się tylko świnki przy korycie i obiecuje zlikwidowanie tego naczynia. Plakaty wisiały coś około dwóch dni.

J O L K A



Rozwiązanie krzyżówki z poprzedniego numeru *Styku*:

poziomo: zatrask, oszczep, pastor, Ostrawa, acnosan, zasadzka.

pionowo: plisa, aster, Orbis, szept, stado.

Nagrody książkowe otrzymują: panie **Elżbieta Zawadzka** i **Krystyna Winnicka** z Białegostoku oraz pan **Piotr Grzybek** z Suchowoli. Gratulujemy.

Określenia wyrazów podane są w innym szyku niż w diagramie krzyżówki. Ujawniono wszystkie litery "S" i "K". W rozwiązaniu wystarczy podać, ile razy w diagramie występują litery: "T" i "Y". Rozwiązania wraz z kuponem prosimy przysyłać na adres redakcji do dnia 20 VIII 1993 r. Wśród prawidłowych odpowiedzi rozlosujemy prenumeratę *Styku* na miesiąc wrzesień-grudzień '93.

- * Bonaparte
- * "Żywa..." w reż. W. Szelachowskiego
- * pozorna świetność
- * wpadła w kompot
- * erudytką
- * większa niż życie
- * masa, wielka ilość czegoś
- * roztropność
- * pora roku
- * mieszkanka Tallina
- * odgłos
- * ziemia nadawana wasalowi przez seniora
- * diagram
- * smaczny grzyb
- * zmysł powonienia
- * kotlet, zraz
- * autor "Trzech sióstr"
- * wyrocznia delficka
- * roślinność na pustyni
- * np. S. Bubka
- * owoc południowy
- * okaz
- * zbiorcza lub satelitarna
- * filmy lub teatralny